Nr. 37. Lwów, Niedziela dnia 20. Maja 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Mówią żeśmy ochłodli...

Zmieniają się czasy! Dawniej — młodzież dziecięciem jeszcze „łeb urywała hydrze“, „mierzyła siłę na zamiary a nie zamiar według sił“ i w fantastycznem uniesieniu szła naprzód, na oślep, z ideałem w piersiach, z pieśnią na ustach. Starzy kiwali głowami widząc burzącą się krew młodą, nieraz chwytali gorętszych za poły, ostrzegając przed szalonym krokiem, a nieraz też chwilowo przez zapał młodzieży otumanieni, stawali się biernymi świadkami jej wybuchów. Dziś role zmieniły się. Dziś starzy oskarzają młodzież o brak zapału, narzekają na jej nastrój pozytywistyczny, na jej nadmierną i przedwczesną trzeźwość...

Mówią żeśmy ochłodli, że nas nic dziś nie rozgrzewa, że jak cienie błąkamy się pomiędzy książką a zarobkiem materyalnym, nie zaglądając nawet w krainę poezyi, w krainę dawnych, drogich sercu polskiemu ideałów!.. Co więcej, doszło do tego, że dziś młodzi zaczynają się obawiać ażeby starsi nie popełnili jakiego szaleństwa. Dziwna zmiana ról! Dziwna, ale właśnie dla tego godna zastanowienia. Czy istotnie, tak w nas wszystko wyziębło, i kto temu winien? Powiadają, że wpływ to zagranicznych „nowinek“, które młodzieży odbierają dawny zapał, uczą rachować tylko i krytykować, a nie kochać, uwielbiać i wierzyć. Ci którzy tak utrzymują, przypuszczają, że jakakolwiek teorya naukowa może ludziom odebrać uczucie! Że zagraniczna filozofia, może, w ciągu lat dziesięciu zmienić charakter narodu, który 10 wieków się urabiał i ustalał. Śmieszna nieznajomość natury ludzkiej! Wpływy rozumowe, teoretyczne, mogą tylko inaczej skierować uczucia; z zapalonego katolika zrobią gorącego ateusza, z arystokraty — demagoga, ze ślepo oddanego rządowi, rewolucyonistę, ale nie zniszczą ani jednego atomu uczucia, tam gdzie ono było istotnie; ono tylko zmieni formę i kierunek swego przejawu, ale nie przestanie być uczuciem. Z miłości jednej rzeczy stanie się miłością drugiej — nienawiścią pierwszej, ale nie przestanie i nie może przestać być uczuciem. A jeśli, jak to się na nieszczęście często zdarza, ktoś przechodzi z obozu do obozu pod wpływem chwilowych pobudek, z czerwonego staje się białym, z policyanta patryotą, lub naodwrót, to wtedy nie uczucia w nim zamarły, albo naraz zrodziły się same przez się, lecz tylko wyrachowanie, sztuka, widoki osobiste przerzuciły go z jednej sfery w drugą — uczuć tam wcale nie było. I jeśli dziś, rozglądając się po kraju, nie widzimy takich jak dawniej objawów uczucia, jeśli młodzież nasza spoważniała i ochłodła, jeśli wojna obecna nie budzi w nas takiej gorączki jak dawniej, to musimy przypuścić, że albo w nas nigdy uczuć nie było, albo tylko zmieniły formę swego przejawu: z wybuchających stały się głębszemi Na pierwsze przypuszczenie oburza się cała nasza historya, a kto zna nasz charakter narodowy, ten go nawet na seryo nie postawi. Drugie przypuszczenie...

O! gdyby można wierzyć, że jest prawdą! Gdyby można uwierzyć, żeśmy dojrzeli uczuciem że dawna nasza zapalność stała się głęboką, utajoną siłą, żeśmy przestali „próżną karmić się boleścią“ i jako mężom przystoi, „zbroimy się w milczeniu!“

Czy tak jest?

Ochłodliśmy — to pewna. Ochłodliśmy nie dla tego, że swoboda badania zmieniła kierunek naszych uczuć, nie dla tego, że nas uczono wiedzą a nie ślepą wiarą podnosić siłę narodową, ochłodliśmy dlatego, że własne gorzkie doświadczenia dają rozwagę, że musiały nas nauczyć przezorności, że musiały zniszczyć wiarę w pomoc pułków archanielskich i w idealną sympatyą naszych mniemanych sprzymierzeńców. Niedowierzamy złudzeniom, i oto dlaczego mówią żeśmy ochłodli.

Nie chcemy przelewać krwi dla próżnej sławy, dopóki nam rozum nie wskaże, że to, co kosztem krwi kupimy, warte będzie takiej ceny; nie chcemy być dłużej *chair à canon* wedle wyrażenia naszego przyjaciela z pod Samosierry i.. z San Domingo, i dlatego to mówią żeśmy ochłodli!

Nie mierzyliśmy zamiarów według sił i dlatego, tak często i tak boleśnych doznawaliśmy zawodów. Nie racya to, ażeby potępić tych co z wiarą i poświęceniem, szlachetną choć nierówną walkę podjęli, owszem, żyć oni powinni i żyć będą w czci i pamięci ziomków, ale też godzi się z zawodów tę wyciągnąć naukę, że ofiara dla ofiary a nie dla korzyści ogólnej, nie może się wiecznie powtarzać, że najszlachetniejsze nawet wybuchy winny być poddane chłodnej mierze siły, jaką naród w danej chwili rozporządza. Prawda, że „zamiar“, że ów cel podniosły, do którego zmierzamy, winien stać wyżej i sięgać głębiej w dusze, niż zwykła rachuba czynów; prawda, że wielkość „zamiaru“ powinna rozbudzać, podnosić i wytężać „siły“, ale tam gdzie od przecenienia tych sił zawisł los narodu, tam przeceniać nie wolno. My dziś chcemy, bo powinniśmy: mierzyć zamiar według sił, i oto dlaczego mówią żeśmy ochłodli!

Ale to nie jest — to nie może być chłód uczuć. Ochłodły nasze twarze i nasze słowa, ale nie serca. Wierzmy, że one tylko zmężniały, tylko zamknęły się w sobie i zawsze dzielne, zawsze wielkim ideom i świętej sprawie naszej oddane, czekają tylko tej groźnej a stanowczej chwili „w której nam Bóg obronę przyszłości powierzy“, bo czują, że to będzie nie chwilowy znak życia w obec świata, ale walka o śmierć lub zwycięstwo, że to będzie walka — *ostatnia.*

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. Lama i Włodzimierza Zagórskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Mimo to nie chował poczciwy Ratatyński długo urazy do swego szklannego szwagierka, zwłaszcza że niespodziewany wcale spadek pozwolił mu wydobyć się z kłopotliwych interesów, w które go zapędził Władysław, sprzedając swoję wierzytelność żydowi. Historya tego spadku jest nadzwyczaj

oryginalną, a ponieważ szklanny człowiek był także spadkobiercą, i dziedziczył w równej części z siostrą swoją panią Anielą Ratatyńską, przeto muszę panu opowiedzieć zabawne dzieje tej sukcesyi.

Nie pamiętam, czy już wspomniałem o tem, że matka Władysława, z domu Starowolska, miała starszego brata, któremu na imię było Paschalis, a który — według tego, co mi opowiadała ciotka moja Pstrzykalska — posiadał nadto obok pięknego imienia, twarz ospowatą, rude włosy, i olbrzymią brodawkę na nosie. Łatwo zrozumieć, że właściwości te czyniły go odrażająco brzydkim, i niepospolicie śmiesznym, a że mankamentów tych nie wynagradzał ani tytuł hrabski, ani odpowiedni majątek, więc pojmiesz pan, że kawaler takiego kroju, był jako epuzer zupełnie niemożliwym. O niepowodzeniach jego miłosnych możnaby spisać całe tomy, p. Paschalis bowiem był *á ce qu'il paraît* wielce kochliwej natury, kochliwej w guście Mazepy, którego serce miało być jak zajezdna brama, a ponieważ się równie prędko zapalał, jak i stygł w zapale, a przytem był wielce zarozumiałym i upartym w swych matrymonialnych zamiarach, więc zdarzało się, iż w jednym tygodniu po dwa, a nawet i po trzy koszyki dostawał.

Wyprawy swe „po żonę“ urządzał dziwak ten w sposób następujący. Co roku w jesieni opuszczał rodzinną Starowolę bramą wschodnią, udając się w konkury do najbliższego szlacheckiego dworku, gdzie była panna na wydaniu. Ztamtąd po odebraniu rekuzy ruszał w dalszą podróż, której celem był znowu najbliższy szlachecki dworek i najbliższa epuzerka, a rezultatem nowy koszyk. Tak jadąc rzemiennym dyszlem od dworu do dworu, od panny do panny, a coraz szersze około swego gniazda zataczając kręgi, przepędzał pan Paschalis całą jesień i zimę w podróży, z której powracał do domu dopiero z wiosną, zawsze bramą wschodnią, zawsze z tym samym sukcesem, i zawsze w tej słodkiej nadziei, że przyszłą kampanią uwieńczy skutek pomyślniejszy.

Tak trwało lat szesnaście! Szesnastego roku powrócił p. Paschalis, właśnie wtedy już do czterdziestki dobiegający, znowu razem z bocianami do swego gniazda bramą wschodnią, gdzieś aż z okolicy Czerniowiec, tym razem ostatecznie już zniechęcony do dalszych wycieczek. Opowiadała mi ciocia Pstrzykalska, że rekuzy pięciu sióstr rodzonych, którym się był oświadczył po kolei, złamały odwagę tego nieustraszonego konkurenta. Powiadam złamały, ale wyrażenie to nie da się zastosować do tego dziwaka, który będąc nadzwyczaj upartym, a widząc bezowocność swoich zabiegów około szlachcianek, postanowił ożenić się *à tout prxi,* i „na złość“ wszystkim tym okrutnicom, które odtrąciły ofiarę jego serca, mienia i imienia. Nie namyślając się tedy długo oświadczył się p. Paschalis kucharce swojej Horpynie, został przez nią uprzejmie przyjęty, i wyrobiwszy sobie indult w największej tajemnicy, stanął na ślubnym kobiercu, dobijając w ten sposób do małżeńskiego portu, aby wypocząć po długich a niefortunnych konkurach.

Mezalians ten oburzył *comme de raison* przeciw p. Paschalisowi całą rodzinę Starowolskich, którzy pieczętując się Rawiczem, zaliczają się do najstarożytniejszych rodów, a będąc przez Kłusowskich z Krasińskimi, a przez Krasińskich z saskim i sabaudzkim domem spowinowaceni, uważają się za karmazynów, i choć biedni do góry zwykle zadzierać nosa, i patrzeć bardzo wysoko. *Figurez vous donc mon cher,* jaki to pomiędzy Starowolskimi powstać musiał rwetes na wieść o tym *coup d' état,* zwłaszcza, że właśnie w tym czasie kręcił się bogaty baron Szmulicki koło siostry p. Paschalisa Maryni, późniejszej Podborskiej i matki naszego szklannego Władysława, która będąc sierotą, bawiła podówczas u ciotki swej Horodeckiej w Nalipkach, gdzie prowadzono dom otwarty. Owoż tedy ów baron Szmulicki, któremu jako neoficie głównie chodziło o świetną koligacyę, dowiedziawszy się o skandalicznym maryażu p. Paschalisa, zwinął nagle ko minka i skierował afekta swoje ku starszej Kłusowskiej z Babulina, która zamiast panny Maryni Starowolskiej została baronową Szmulicką i milionową panią na Zastawnej, a wszystko to z łaski p. Paschalisa i jego Horpyny!

Zrozumiesz pan zatem, że haniebna żeniaczka p. Paschalisa otworzyła pod jego stopami przepaść bezdenną, i że cała rodzina Starowolskich tudzież wszystkie z nimi skoligacone domy odwróciły się od niego, jak od pariasa, nie mogąc mu przebaczyć sponiewierania rodowego klejnotu, ani też zwichnięcia losu Maryni, która *entre parenthèse* miała mieć *un certain faible* do tego barona Szmulickiego. Daremnie starał się p. Paschalis przebłagać zagniewanych prezentami i częstokroć dość znacznemi nawet pożyczkami pieniędzy; — prezenta przyjmowano, pożyczek nie oddawano, a mimo to trwano uporczywie przy raz wyrzeczonym ostracyzmie. Mianowicie kobiety nie pozwalały sobie nawet mówić o cofnięciu tego *Non possumus,* kobiety bowiem są w rzeczach tego rodzaju jakoteż i w rzeczach religii i polityki daleko od nas twardszemi, i zwykły posuwać ortodoksyą swoją aż do fanatyzmu.

Po kilku latach daremnych usiłowań przekonał się nareszcie p. Paschalis, że rodzina jego nie da się żadną miarą nakłonić do uznania dokonanego faktu, i nie przyjmie nigdy do swego grona żony jego Horpyny z domu Burmyło. Przekonanie to było dlań bardzo bolesnem, Starowolscy bowiem z liczną swoją parentelą byli wyrocznią całej okolicy, a p. Paschalis nawykłszy w czasie swych konkurenckich kampanii do obcowania z ludźmi, począł za niem tęsknić, i uczuł całą surowość ostracyzmu, ktorym go dotknęła rodzina tem głębiej, ile że nie miał dzieci, a pani Horpyna nie była wcale osobą, któraby mogła wypełnić próżnię otaczającą jej małżonka. Ażeby się więc raz wydobyć z pod tej klątwy, postanowił p. Paschalis zerwać ostatnie węzły, które go jeszcze łączyły z rodziną, to jest sprzedać Suchowolę i wypłaciwszy każdemu z rodzeństwa schedę przypadającą mu według ojcowskiego testamentu, szukać w świecie swobodniejszego oddechu. Zamiar ten zaledwie powzięty został natychmiast wykonanym; Starowola odwieczne gniazdo Starowolskich, przeszła w posiadanie Prusaka, a p. Paschalis wypłaciwszy każdemu z rodzeństwa przypadającą mu schedę, i złożywszy w depozycie posag małoletniej Maryni, zabrał swoją Horpynę i wyjechał do Czerniowiec, gdzie założył sklep korzenny.

Vous concevez, że nowa ta sprawka p. Paschalisa spotęgowała nienawiść którą Starowolscy żywili dla swego kuzyna a względnie brata. Sprzedaż rodowego majątku nie z musu, ale dobrowolnie dla pięknych oczu *d' une* Horpyna dokonana, była rzeczywiście zbrodnią do nieba o pomstę wołającą, zbrodnią którą każdy z Starowolskich osobiście się musiał czuć pokrzywdzonym. P. Paschalis, którego dotąd tylko *la brute* nazywano, nie nazywał się od tej chwili inaczej jak tylko *le scélérat, l' homme pervers, le monstre infame,* pani Horpynie zaś znanej dotychczas w familii pod imieniem *la fille* dostawały się odtąd tylko epiteta, w rodzaju tych, których używał Ludwik XV, przemawiając do swoich córek.

Aliści animozya ta zaczęła słabnąć powoli; po kilku latach bowiem dowiedziano się, że p. Paschalis sprzedając w Czerniowcach bojarom bordo i szampana robi coraz większy mająteк, że nabył od Hormuzakich klucz cały pod Suczawą, że traktuje z Prusakiem o odkupienie Starowoli, i że na koniec — co najważniejsza — ciągle jest bezdzietnym. Wieści te gradem po sobie następujące, przekonały Starowolskich, że *le scélérat, l'homme pervers, le monstre infame* jest właściwie *un homme très-digne et très-respectable,* a jego Horpyna, czyli jak ją wtedy zaczęto nazywać Herminia, *une femme il est vrai bien simple,* jest *une très-brave et très-excellente personne.* Przyszedłszy do tego przekonania, poczęli członkowie rodziny Starowolskich zbliżać się do p. Paschalisa pojedyńczo, i w tajemnicy przed resztą rodzeństwa, ażeby nie utracić przywileju wynalazku i korzyści z tego przywileju wyniknąć mogących. Ze wszystkich stron zaczęły do Czerniowiec nadchodzić listy pełne najserdeczniejszych wynurzeń, a odzywające się do braterskich uczuć p. Paschalisa, i powiadają, że niektóre z tych odezw zaadresowane były: *A Madame Herminie de Starowolska née de Bourmillo,* co niezaprzeczonym jest dowodem, że wchodzące właśnie wtedy w modę zasady polityki dokonanych faktów znalazły w rodzinie Starowolskich gorących zwolenników. Mądra ta polityka wydała niebawem błogie owoce, p. Paschalis bowiem i pani Herminia nie pozostali głuchymi na głosy krewnych wzywających ich do zapomnienia o dawnych urazach, i tak tedy zapanowała wkrótce jedność, miłość i zgoda pomiędzy panami chrześciańskimi, do której to zgody, jedni tylko nie przystąpili Podborscy (Marynia Starowolska wyszła była tymczasem za Podborskiego), bądź to dlatego, że pani Marya, nie zdołając zapomnieć o tem, iż mogłaby być baronową Szmulicką, żywiła ciągle jeszcze żal do swego brata, bądź też może dla tego, że p. Hilary (tak było na imię ojcu szklannego Władysława) zajmując się pilnie kwestyą maczka i dyabełka, nie mógł się równocześnie zajmować innemi kwestyami.

Afekt Starowolskich ku p. Paschalisowi wzmagał się z każdym rokiem, i zamienił się

po śmierci pani Herminii, która w kilka lat po dokonaniu pojednania nastąpiła, w rodzaj kultu, podobnego do owego uwielbienia, którem w biblijnych czasach otaczali Żydzi swoich patryarchów. Od tej pory otrzymywał p. Paschalis zawsze na imieniny liczne powinszowania i podarunki: panienki haftowały w tym celu pantofle, czapeczki i poduszki, chłopcy układali na uczczenie tej uroczystości kancony i sonety, starzy udawali się do niego po radę, zwierzając mu się niekiedy z swemi finansowemi kłopotami. Patryarcha przyjmował prezenta, i powinszowania, udzielał uprzejmie żądanej rady, aluzyi jednak na temat finansowych kłopotów nie chciał nigdy zrozumieć, pocieszając za to każdego zapewnieniem, że majątku z sobą do grobu nie zabierze. (C. d. n.)

O RZEŹBIE.

Odczyt

OTTONA HAUSNERA.

(*Ciąg dalszy*).

Pozostaje mi wspomnąć o udziale — daleko słabszym — innych narodów europejskich w rzeźbie.

W Hiszpanii znajdujemy w 16tym wieku bardzo oryginalną i zmysł plastyczny hiszpański wybornie cechującą szkołę rzeźbiarzy w drzewie, która prawie wyłącznie malowane drewniane posągi wytwarzała. W tych dziwnie ponurych utworach objawia się, aczkolwiek w niższym rodzaju, to samo zespolenie szorstkiego naturalizmu z mistycznem zachwyceniem, które, w nierównie powabniejszych kombinacyach, cechuje obrazy najsławniejszych malarzy hiszpańskich. *Alonzo Berruguete* i *Gasparo Becerra* są głównymi mistrzami tej szkoły, której najobfitszy plon zachowany jest w Toledo i Valladolid. W marmurze jeden tylko Hiszpan, Gregorio Hernandez, doszedł do sławy w początku 17go wieku.

Francya posiada przy końcu średnich wieków znacznego mistrza gotycko-kwiecistego stylu w Michale Colomb, twórcy przepysznych Mauzoleów Franciszka IIgo w Nantes i Filiberta Sabaudzkiego w Brou. Czas odrodzenia we Francyi nie zbyt obficie, ale czysto i sympatycznie reprezentowany jest przez *Jana Goujon* (Diana na łowach w Luwrze), *Germaina Pilon* (Grobowiec Henryka II i Katarzyny Medicis w St. Denis), *Piotra Francheville* (Dawid, Sprawiedliwość. Niewolnicy w Luwrze) i Jakóba Sarrazin (Grobowiec Kondeusza).

W stylu rococo zaś pracowały we Francyi niezliczone zastępy znakomitych plastyków, którzy współubiegali się w śmiałości i okazałości z Włochami, często we Włoszech byli zatrudnieni, głównie zaś około Ludwika XIV, króla-słońca, krążyli, uwieczniając jego osobę i czyny w tysiącznych formach.

Piotr Puget [1]) zasłużył sobie przeładowaniem i ekscentrycznością swych utworów na nazwę francuskiego Bernini. *Anguier* [2]), *Bouchardon* [3]), *Mikołaj Coustou* [1]), *Coysevaux* [2]), *Girardon* [3]), *Le Gros* [4]) *Monnot* [5]) i przedewszystkiem *Rigalle* [6]) byliby trwalej swe nazwiska zapisali w pamięci następnych wieków, gdyby szał rewolucyjny Jakobinów nie był zniszczył największej części pomników przez nich monarchom lub wielkim panom wystawionych. *Houdon* w posągu Św. Brunona [7]) jedyny w tym wieku dał przykład wyrazu naturalnego i serdecznej pobożności. Za to *Claude David* w Świętym Bartłomieju, przez oprawcę ze skórę odartego [8]) zestawił ohydny okaz, tego co wybujała fantazya wtedy śmiała w rzeźbach przedstawiać. *Etienne Falconnet*, przyjaciel Katarzyny drugiej, twórca konnego posągu Piotra Wielkiego, spinającego się na ogromnej skale granitowej, zaznacza przejście do reformy Canovy. Wiek 19ty pokazuje nam w *Pradierze* najświetniejszego przedstawiciela szkoły Canovy (syn Nioby w Luwrze, Victorii na grobie Napoleona u Inwalidów, Flora w Nimes), w *Rude* najdzielniejszego zwolennika Thorwaldsena (Katon w Tuileriach, Rybak z żółwiem), w *David d'Angers* głowę nowej realistowskiej szkoły (Filopoemen w Tuileriach, Pomnik Gutenberga w Strasburgu) w *Barye* pierwszego rzeźbiarza dzikich zwierząt, nie monumentalnych, ale pojętych w objawach indywidualnych (Lew z wężem w Tuileriach, Pantera walcząca z krokodylem) w Dumont (Posąg Napoleona Igo na kolumnie Vendôme) i *Duret* (Rybak tańczący, Improwizator Neapolitański) eleganckich eklektyków, starających się pogodzić rzeczywistość z ideałem. Ostatnie lata przyniosły niespodziany rozkwit idealistycznego kierunku, dążenie wszelkiego uznania godne, do czystości linii, do słodyczy wyrazu bez uszczerbku prawdy i charakteru. Objaw ten jest podwójnie pocieszający, gdy okazuje się w chwili, w której wielka publiczność i wielkie zamówienia zwracają się ku malarzom i zaniedbują rzeźbę. *Carpeaux*, niedawno zmarły, może ze wszystkich nowoczesnych najgłębiej wniknął się w zrozumienie włoskiego renesansu i jego Ugolino [9]) zdaje się wprost natchniony ponurym duchem Michała Anioła. Za to jego „Taniec" przed wielką Operą jest wstrętną Orgią. Kto widział ostatnie dzieła młodszych rzeźbiarzy francuskich: Barriosa [10]), Bartholdiego [11]), Falgnièra [12]), Cabeta [13]), Mailleta [14]), Perrauda [15]), Polleta [16]) i Guillauma [17]) nad wszystko zaś uroczą grupę „Gloria Victis" przez *Mercié*, „Młodość przy grobie Regnaulta", wzór porywającego rozrzewnienia przez *Chapu*, Śpiewaka florenckiego lub Ewę *Pawła Dubois*, ten musi przejąć się błogą nadzieją, że nowy, silny, może zwycięski pochód ku wyżynom ideału rozpoczął się we Francyi, że jutrzenka nowej sławy dla rzeźby zajaśniała w tym kraju, którego tysiące zaślepionych umysłów lub przedajnych piór niemieckich piętnuje jako ziemię upadku, jako stek moralnej zgnilizny. Kto nieuprzedzonem okiem zmierzył wzniosłe postacie, jakie młoda generacya rzeźbiarzy francuskich nadaje cnotom, poświęceniu i miłości ojczyzny, ten z oburzeniem odwróci się od potwarzy natchnionych nienasyconą zawiścią i nie powtórzy za jej wrogami baśni o moralnym upadku Francyi, jak to niestety uczyniło kilku naszych publicystów.

Anglia nigdy nie zdobyła się na szkołę rzeźbiarską jakiegokolwiek znaczenia i zdaje się wyraźnie, że zmysł plastyczny obcym jest narodowemu uzdolnieniu Anglików. Przegląd niezliczonych pomników po Squarach i placach Londynu ustawionych wykazuje taki brak piękności, takie ubóstwo wynalazku, taką dysharmonią zarysów, że mimowolnie nasuwa myśl, iż naród angielski wielkim mężom swoim zamiast czci i hołdu pośmiertne satyry i w marmurze wykute nagany udzielić chciał. *Chantrey* [1]) mdły i blady Kanowista i *Flaxman* [2]), zimny i martwy współuczeń Thorwaldsena jeszcze najbardziej na uwagę zasługują. Honory i bogactwa spływające na tak miernego artystę jakim był *Westmacott* [3]) najlepiej dowodzą, czem bogata Anglia zadowolić się musi, skoro do obcych dłut nie apeluje.

Za to w Niderlandach sztuka plastyczna powtórnie i w różnych kierunkach pięknie zakwitła, już w średnich wiekach [4]), potem w czasach renesansu [5]), które tutaj później uległy zdziczałości manieryzmu, niż gdziekolwiek, gdy największy mistrz flamandzki, *Franciszek Du Quesnoy* zachował czystość linii i miarę w ruchach, żyjąc w Rzymie w czasach największego zepsucia smaku i współubiegając się z Berninim (Św. Andrzej w Watykanie, Święta Suzanna w S. Maria di Loreto w Rzymie, apostołowie w katedrze Brukselskiej) W 17tym wieku wytworzyła się odrębna, bardzo oryginalna i twórcza szkoła rzeźbiarzy w drzewie. Na jej czele stanął *Piotr Verbruggen* ze swą sławną kazalnicą z Adamem i Ewą w katedrze brukselskiej. To też w tym wieku i następnym snycerze flamandzcy w całej Europie pracowali [6]).

W 19tym wieku *Wilhelm Geefs* stoi na czele idealistów (Pomnik ofiar rewolucyi 1830 r. na placu męczenników. Nagrobek hrab. Merode w katedrze w Brukseli), *Fraikin* zaś dowodzi najskrajniejszymi realistami, jak o tem przekonywa posąg leżący Murzyna po otrzymanych chłostach, dziki pomysł wybornie techniką wykonany [7]).

Skandynawia, wydawszy największego rzeźbiarza 19go wieku, szczyci się jeszcze jego

---

[1]) Milon z Krotony rozdzierany przez lwa, w Luwrze.

[2]) Grobowiec Montmorency w Val de Grace.

[3]) Amor z łukiem w Luwrze.

---

[1]) Ludwik XV i Marya Leszczyńska w Luwrze Rzeźby basenów w Wersalu.

[2]) Grobowiec kardynała Mazarin w Luwrze.

[3]) Kąpiel Apollina w Wersalu. Grobowiec Richelieu w Sorbonie.

[4]) Św. Ignacy Lojola w Gesu w Rzymie. Grobowiec Grzegorza XV w Sant Ignazio tamże.

[5]) Apostołowie w Lateranie.

[6]) Mauzoleum marszałka de Saxe w Strasburgu. Nagrobek księcia Harcourt (umarły podnoszący wieko trumny) w Notre Dame w Paryżu.

[7]) W S. Maria degli Angeli w Rzymie.

[8]) W S. Maria di Carignan w Genui.

[9]) Z terracotty w ogrodzie Tuileriów.

[10]) Spartakus. Przędziarka z Megary.

[11]) Kolos Niepodległości w Nowym Yorku.

[12]) Tancerka egipska. Ofelia. Walczący.

[13]) Grupa „1871".

[14]) Agrippina.

[15]) „Abi, il pianto" z Dantego.

[16]) Godzina.

[17]) Anakreon. Korsarze. Grachowie.

---

[1]) Posąg konny Wellingtona, pomnik kolosalny księcia Sutherland.

[2]) Płaskorzeźby z Iliady. Pomnik Nelsona w św. Pawle.

[3]) Pomnik kolosalny księcia York. Posąg konny Bentincka w Kalkucie i 50 innych pomników.

[4]) Claus Sluter, twórca grobowca Filipa Śmiałego w Dijon.

[5]) Aleksander Colin (grobowiec Maksymiliana 1go w Inspruku) i Adrian de Vries.

[6]) Gropello, Verhelst i Tassaett w Niemczech, bracia Slodz i Van Cleve w Francyi, Verschaffelt i Melchior Barthel we Włoszech, Rysbrack i Schemakers w Anglii, Millich w Szwecyi.

[7]) Za to jego pomnik hrab. Egmont i de Hornes na wszelką pochwałę zasługuje.

*

uczniami Bissen [1]) i Jerichau [2]) w Danii, Fogelberg [3]) i Bystroem [4]) w Szwecyi.

W oczach przeważnej części Niemców i ich wielbicieli od roku 1870 Niemcy nie tylko dzierżą największą potęgę państwową i niepo równaną organizacyą wojskową, ale też we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej i w sztuce górują nad innemi narodami. Ten pewnik, słusznie jest zastosowany do muzyki, obecnie może i do architektury, bardzo jednak staje się wątpliwym w malarstwie a do rzeźbiarstwa żadną miarą zastosować się nie da. W czasach średniowieczno-chrześcijańskiego stylu tenże niezawodnie w Niemczech najświetniej się rozwinął. W Niemczech on się wydobył z martwego barbarzyństwa rzeźb 13go wieku. W Niemczech najstaranniej wypieszczono jego delikatne ozdoby, w Niemczech naiwnem natchnieniem lub mistyczną poezyą wyrazu najbardziej wynagrodzono brak czystej piękności i równowagi.

Ten styl, tak niewłaściwie gotyckim zwany, wyznaczył rzeźbie przeważnie zadanie dekoracyjne, ściśle od architektury zawisłe. Najcelniejsi przedstawiciele tego smaku są: *Albrecht Krafft* (Domek najświętsz. Sakramentu u Św. Wawrzyńca i wypukłorzeźby Męki Pańskiej i Sądu ostatecznego u Św. Sebalda z w Norymberdze), *Piotr Vischer* (Grobowiec Św. Sebalda z 12 apostołami w jego kościele. Pomnik Frydryka Mądrego w Wittenbergu) i *Tilman Riemenschneider* (Grobowiec Henryka IIgo w Bambergu.) Duchem i wykonaniem należy do tej szkoły i nasz Wit Stwosz. Słońce odrodzenia ledwie blady promyk rzuciło do Niemiec i dopiero w wieku Rococo znajdujemy dwóch plastyków, bardzo mało dotkniętych przesadą i złym smakiem tych czasów: *Andrzeja Schlütera* w Berlinie (Posąg konny Wielkiego elektora) i *Rafaela Donnera* w Wiedniu (Fontanna na Mehlmarkt). Zbawienny zwrot ku klasycyzmowi dokonany przez Canovę znalazł w Niemczech znakomitego zwolennika w Danneckerze [5]), którego Ariadna na panterze w Frankfurcie jest jednem z najsympatyczniejszych dzieł tej szkoły. Do niej należą jeszcze zimny pedant *Schadow* w Berlinie (Posąg Frydryka Wielkiego w Szczecinie) i staranny naśladowca antyków, *Zauner* (Posąg konny Józefa IIgo w Wiedniu). W naszym wieku podwójny prąd poruszył rzeźbiarstwo niemieckie. Jeden, tak zwana szkoła romantyczna, zawdzięcza swe istnienie *Schwantalerowi* [6]), wielce zatrudnionemu i wielce przecenionemu mistrzowi, który w swych rycerzach, minstrelach i rusałkach stworzył styl połowiczny, który ani spokojnej piękności i elegancyi klasyków ani szczerości wyrazu i natchnienia średniowiecznych nie dorównał i którego typy po części niewdzięczne w szkole monachijskiej z coraz mniejszem uzdolnieniem i powodzeniem podtrzymywane bywają. Z uczniów Schwantalera jeszcze Halbig [7]) najwięcej ma wdzięku i

[1]) Dawid i Mojżesz w Kopenhadze.
[2]) Anioł Śmierci. Myśliwy z panterą.
[3]) Posąg konny Gustawa Adolfa. Odin i Freja.
[4]) Posągi Karola Gustawa X i Karola XI w Stokholmie.
[5]) Jego Chrystus w Petersburgu jest może najlepszem przedstawieniem Zbawiciela od czasów Sansovina i Michała Anioła aż po Thorwaldsena i Teneraniego.
[6]) Kolos Bawaryi, 12 Elektorów bawarskich w król. rezydencyi w Monachium, fontanna Austryi w Wiedniu. Fronton Walhalli w Regensburgu, posąg Rudolfa Habsburga w Spirze, posąg Ottokara i Zisky w Liboch.
[7]) 18 posągów w przybytku oswobodzenia w Kellheim, posąg Palatyna Józefa w Peszcie.

miękkości, Bandel zaś jest twórcą niedawno odsłoniętego pomnika Hermana w Teutoburskim lesie, o kolosalnych rozmiarach, lecz miernej wartości. Drugi prąd, postępujący w ślady Thorwaldsena, okazał się nierównie potężniejszym i trwalszym i wydał największego rzeźbiarza niemieckiego *Raucha*, którego słodko uśmiechnięta postać leżąca królowej Luizy w Charlottenburg i posąg konny Frydryka Wielkiego w Berlinie wykazują zarazem jako mistrza wdzięku i uczucia, jak też monumentalnej potęgi. Najznakomitszym uczniem Raucha był *Rietschel*, o czem świadczy oryginalny i misternie złożony pomnik Lutra w Wormacyi, obok niego jako najcelniejszych wymienić wypada *Alberta* [1]) i *Emila Wolf* [2]) Berlińczyków *Drake* [3]), *Bläser* [4]) *i Kiss* [5]), najlepszego rzeźbiarza koni w Niemczech, dalej Sasów *Haehnel* [6]) i *Schilling* twórcy nocy, poranku dnia i wieczora na Brühlowskiej terasie w Dreznie, nareszcie Austryaków *Fernkorn* (Posągi konne arcyksięcia Karoli i Eugeniusza Sabaudzkiego), *Gasser* (Posąg cesarza Maksymiliana w Tryeście) i Pilz (posągi Haynaua i Kolonicza). Jednak z wyjątkiem Schillinga wszyscy wymienieni zmarli lub się przeżyli, tak że obecnie potężne państwo Niemieckie jednego prawdziwie znakomitego plastyka w pełnym rozwoju liczy [7]). To też oddział rzeźb niemieckich na wystawie wiedeńskiej, w porównaniu z włoskim i francuskim, czynił uderzające wrażenie ubóstwa. *Zumbusch* liweruje tuzinami pomniki wojowników (Kriegerdenkmale) dla miast i miasteczek, których synowie w wojnie r. 1870 polegli a pomnik Goetego w Berlinie powierzono p. *Schaperowi*, który stworzył nie wieszcza, ale tajnego radcę Goetego. Najlepszym rzeźbiarzem Szwajcaryi jest *Imhof*, twórca nadobnej Ewy, Rossyi zaś *Baron Piotr Clodt*, którego wyborne grupy koni nawet w Berlinie i w Neapolu w miejscach publicznych ustawiono.

(Dok. nast).

[1]) Posąg konny elektora Albrechta w Królewcu.
[2]) Nereida. Pandora.
[3]) Ośm prowincyj Prus w zamku Berlińskim.
[4]) Posąg konny Fryd. Wielk. IV w Kolonji.
[5]) Sławna Amazona popadnięta przez panterę w Berlinie.
[6]) Posągi konne Schwarzenberga w Wiedniu, księcia Fryd. Wilhelma w Brunswiku i liczne grupy dzikich zwierząt.
[7]) Zaliczyć tu można jeszcze Reinholda Pegas, rubasznego realistę (Rodzina Faunów. Posąg konny Wilhelma w Kolonii) i Adolfa Donndorf, ucznia Rietscha (Hrabina Elżbieta na Wartburg. Posąg konny Karola Augusta w Weimar.

ZE WSPOMNIEŃ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

I.

Książka pra-prababki.

Dość spojrzeć na nią, aby się domyśleć, że to nie jest jedna z tych książek, jakiemi my się dziś bawimy, z jakich się uczym i gorszym czasami. Książka ta w życiu miała inne znaczenie. Była to towarzyszka w dobrej i złej, a nadewszystko w złej doli, książka, z której płynęła pociecha w duszę, na którą spływały łzy; z niej się czerpało natchnienie, męztwo, nadzieja. Jest to po prostu książka do nabożeństwa, ale z nią łączy się tragiczna historya mojej pra-prababki, Barbary Ludwiki z Dłuskich Nowomiejskiej. Naówczas książka taka nie służyła jako część toalety do ubrania się na nabożeństwo, nie wstydzono się jej i nie żądano, aby się mogła, w razie potrzeby schować do kieszonki; duża, w ćwiartce, drukowana na lichym papierze żółtym, aby mogła przetrwać wszystkie życia przygody, oprawna była w czarny jaszczur, jak szabla pra-pradziadka, spięta srebrnemi klamrami, z czarną żałobną obwódką. Właścicielka też jej przez większą część życia żałobą była okryta. Nie francuskie to „Heures“, nie żadne tłumaczenie, ale prosta domowa książka, w Sandomierzu drukowana, Bolesnej Matce Boskiej w obrazie cudownym Jarosławskim złożona w darze i poświęcona; na wszystkie życia przygody, do wszystkich świętych patronów zawierająca modlitwy i westchnienia...

Na kartach jej po kilkakroć podpisała się właścicielka, a na jednym z włożonych w nią obrazków nakreśliła to godło, które służyło jej do zgonu: „Dar Ducha Świętego, męztwo“.

Niewiasta to była w istocie mężna nad podziw, a męztwo jej płynęło z pobożności. Z rąk prababki przeszła książka przez pobożne ręce babki, matki mojej, i, jako droga relikwia, daną mi była r. 1853, dnia 10 Czerwca w Romanowie. Jest to niemal jedyna dziś spuścizna, jaka mi została. Kilka pokoleń dopisywało na niej modlitwy, możnaby było na niej znaleźć łez ślady, — ale posłuchajcież historyi tej, która się pierwsza na niej modliła.

Państwo Nowomiejscy, ludzie zamożni bardzo i pracowici, trzymali w teraźniejszej Galicyi, a, jak się to naówczas zwało, na Rusi, znaczne dobra dzierżawą od księcia wojewody — (nie wymieniamy nazwiska, spokój umarłym!). P, Nowomiejski pożyczył było — prócz tego kilka tysięcy czerwonych złotych księciu wojewodzie. Było to za saskich czasów; naówczas kto miał siłę, mógł co chciał

Książę w ciągłych był podróżach do Drezna i dalej za granicę, pieniędzy potrzebował wiele. Plenipotent, chcąc się zasłużyć, starał się o nie wszelkiemi możliwemi środkami. Właśnie w chwili gdy książę się do Paryża wybierał, pan Nowomiejski zażądał wypłaty pożyczonych pieniędzy. Plenipotent oddać ich nie mógł. Książę, do którego słano listy, pogniewał się mocno na szlachcica, śmiejącego dokuczać tak wysoko położonemu w hierarchii panu. Plenipotent, na którego zapewne część winy za to spadała, powziął gniew i żądzę zemsty na panu Nowomiejskim. Miał w pozostałych dobrach kozaków nadwornych i wojsko książęce. Chociaż dzierżawa na lat jeszcze kilka zapewnioną była, powziął myśl wyrugowania z niej siłą Nowomiejskiego. Nie było to łatwo, bo w fundum swem miał i on ludzi, dwór liczny i zapaśne rusznice.

Jednego dnia świątecznego, tak opowiadała prababka, wybrali się państwo Nowomiejscy na nabożeństwo do parafialnego kościoła. Jeździli zwykle dworno, jechał z niemi kapelan kapucyn, kilku rękodajnych dworzan, służba. Szła sześciokonna karoca, a za nią bryka. Dano im wnijść do kościoła bez przeszkody, wysłuchać mszy, a gdy już do powozu wracali, w kruchcie kościoła, zastąpiło im drogę kozactwo nasadzone, i wpadło z szablami na Nowomiejskiego. Dobył i on swojej na obronę, przypadł kapelan, osłaniając go, przybiegli w pomoc dworzanie, ale liczba napastników była przewyższająca, — pan Nowomiejski padł kilkadziesiąt ran odebrawszy, i krwią oblanego, żywego ledwie, wniesiono do powozu uchodząc z nim do domu. — Tu się już gotował najazd i mimo dzielnej obrony, Nowomiejscy z kilkorgiem dzieci drobnych i życiem ledwie

ujść mogli. Padły ofiarą inwentarze, zasoby domowe, wszystko... Pani Barbara ocaliła trochę pieniędzy, z chorym, okrytym ranami mężem osiadła we Lwowie i rozpoczęła proces z najezdcą.

Wiemy, co to była naówczas sprawa z człowiekiem możnym, królewską protekcyą i deputatów trybunalskich mającego za sobą. Proces toczył się lata nieskończone. Pana Nowomiejskiego leczono też długo, a pani Barbara powiadała, że doktorowie i apteka tysiące czerwonych złotych kosztowały. Umarł w ostatku z ran poniesionych, zostawując wdowę i dziatki małoletnie z tą nieszczęsną sprawą w spuściźnie.

Naówczas to napisała właścicielka na książce: „Dar ducha świętego: męztwo.“ — Potrzebowała go w istocie, aby sama jedna podołać wszystkiemu, wychować dzieci, odzyskać im majątek, nie upaść pod brzemieniem, nie rozpłynąć się we łzach bezsilnych. Bóg pomógł czcigodnej, mężnej niewieście.

Po długiem i bezskutecznem procesowaniu się z księciem Wojewodą, dało się coś przynajmniej z zagrabionej własności odzyskać, dzieci we Lwowie odebrały wychowanie i pokierowały się na świecie, — wdowa miała tę pociechę, iż umierając, spokojnie oczy zamknęła, z uczuciem spełnionego obowiązku.

Na tej książce modliła się ona całe życie, a karty jej zapisane są prośbami do dzieci i wnuków, aby o duszy jej nie zapominały. Można niemal śledzić na nich, jakiemi się karmiła modlitwami, bo niektóre stronnice są więcej użyte od innych..

Ileż to łez w czasie tego pobytu we Lwowie spadło na nie, gdy mąż chorował, ani wyzdrowieć, ani umrzeć nie mogąc, gdy lekarze z jednej, mecenasi i adwokaci z drugiej strony resztki mienia zabierali, gdy trzeba było owem męztwem i wiarą w opatrzność starczyć na wszystko... kobiecie samej jednej, sierocie...

Pojmiecie łatwo, że książka ta — to relikwia, to najdroższa pamiątka. Przechodziła też z poszanowaniem z rąk do rąk i najstarszemu się dostała... Leży w niej także list pana Długskiego Józefa, ojca pra pra babki, w roku 1737 z Hołynki pisany do przyszłego zięcia, któremu rękę swej córki akorduje. List to zupełnie w stylu i obyczaju saskich czasów. Dłuski posag córce na dobrach Gudosze w ziemi Nurskiej zapisał... „A jeżeli taka jest *Superis* dyspozycya, i *quo te tua fata vocant, i pede fausto... Deus coronat vota usum,* Pana ku chwale swej i moje żądze.“ — Spodziewał że się pan Dłuski, że to małżeństwo tak szczęśliwe, tak straszną tragedyą się zakończy!

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(Ciąg dalszy.)

W każdym co wziął udział, w tym zrozpaczonym kroku, serce ścisnęło się silnie, każdy widział przed sobą widmo śmierci. Wolność! Ojczyzna! te ideały, do których rwało się młodzieńcze uczucie, dla których serce biło konwulsyjnie, może na zawsze znikną im z przed oczów! Gdyby to jeszcze zginąć od razu w otwartym boju, pod stanowczem pchnięciem bagnetu! Lecz i taki los nie był pewnym; może właśnie przyjdzie im jeszcze przez długie lata znosić stokroć cięższą niewolę! Taki nastrój ogólny był żałobną wróżbą klęsk owej garstki ludzi, rzucającej się w objęcia śmierci dla uratowania wolności!

Posępnie, wśród burzy nieustającej posuwały się plutony, w znacznych odległościach od siebie. Po niejakim czasie dobiega jeden z konnych do ostatniego plutonu, przy którym się znajdował Szaramowicz, z doniesieniem, że już spostrzeżono forpoczty moskiewskie. Na tę wiadomość Szaramowicz daje rozkaz ażeby pierwsze 2 plutony konne natychmiast cofnęły się do Miszyszychy, zaś trzy piesze skierowały się na prawo i rozstawiając się w gęstwinach i krzakach, zrobiły tamże zasadzkę.

Moskale mieli parowce płynące w pobliżu brzegów, trzymające się zawsze jednej linii z wojskami lądem maszerującymi; a gdy zoczyli pierwsze czaty powstańcze, wysłali w tej chwili maleńki statek naprzód, aby ten zbliżył się do miejsc przez powstańców zajętych i zebrawszy dokładne dane, natychmiast powrócił ze sprawozdaniem.

Parowiec rekognoskujący, spełniwszy rozkaz, któremu Polacy przeszkodzić nie mogli, powrócił do swoich z zebranemi szczegółami, co nie było zbyt trudnem zadaniem, gdyż wszystkie siły powstańcze, na dość odsłoniętym brzegu widne były jak na dłoni.

Tymczasem burza łagodnieć poczęła, grzmoty zwolna rzadszemi się stawały, a promienie słońca przedzierając się przez niezupełnie jeszcze rozegnane ciemne chmury, oświeciły miejsca bliskich zapasów; piechota powstańcza zaczynała się rozstawiać w zaroślach i gęstwinach, i zająwszy miejsce oczekiwała rychłego napadu Moskali.

Skoro tylko rekonesansowy parowiec zawiadomił Moskali, że polska kawalerya cofnęła się i odsłoniła powstańczą piechotę, zagrały moskiewskie sygnały *„w rozsypku“* i łańcuch tyraljerski dając bez przerwy ognia posuwał się naprzód. Ale Moskale znajdując się w miejscach zarosłych, nie mogli wiedzieć czy nie ma zasadzki w pobliżu; na przemian zatem to rozsypani jako tyralierzy to znów zbici w kolumny, z bagnetem w ręku, z dzikiemi okrzykami *„hurra“* uderzali na wszystkie punkta, w których przypuszczali że powstańcy ukrywać się mogą. Powstańcy jednakże znajdowali się znacznie dalej (przynajmniej $3^1/_2$ wiorsty) a zachowując zupełne milczenie przerażali takowem Moskali, nieśmiało i z niepewnością posuwających się ku Miszyszysze.

Szaramowicz cofając plutony konne, nie zrobił tego z żadnym na taktyce opierającym się planem. Cofnął je, bo trzeba było koni, do zabrania tej żywności, jaka płynęła z Kultuku, na łodziach po Bajkale, gdyż dłuższe pozostawanie jej na wodzie groziło zatopieniem przez Moskali. Tym plutonom, rozkazał Szaramowicz spuścić się do samych brzegów jeziora, najuczyć konie i sprowadzić prowianty do oddziału.

Jednocześnie gdy te plutony udały się ku brzegowi dla spełnienia rozkazu, przybywa delegacya więźniów pozostałych w Miszyszysze do Szaramowicza z błagalną prośbą, aby powstańcy nie przyjmowali bitwy za osadą, gdyż ich przezto zgubią, ale żeby się cofnęli przed Miszyszychę ku południowi, dozwalając Moskalom swobodnego przejścia miejsc zajętych przez więźniów, którzy nie biorą udziału w ruchu. To poselstwo i obawa o siebie były naturalnem następstwem pokojowego nastroju więźniów. Ze względu zatem aby nie narazić ich jako niewinnych na wściekłość Moskali w razie prawdopodobnego tragicznego rozwiązania, Szaramowicz przychylił się do ich żądań i z oddziałem cofnął się przed Miszyszychę, zostawiając przed sobą kilkuset więźniów a o parę wiorst dalej, posuwających się Moskali.

W tym czasie, cóż Celiński porabia? Zająwszy nieokreślone stanowisko w oddziale, to jest towarzysząc mu a nie uznając i nie chcąc ulegać rozkazom Szaramowicza, udaje się tajemnie za plutonami konnemi na brzeg jeziora, a gdy żywność była nałożoną na konie i gdy z nią już powracać miano, zatrzymuje powstańców i w sposób zwięzły a przekonywujący przedstawia im, że Szaramowicz jeżeli się nie cofnie z obecnego stanowiska, to wkrótce rozbitym zostanie, że więc nie tracąc czasu, kto jeszcze może powinien ratować się przejściem za granicę Syberyi. „Ja was poprowadzę, — mówił Celiński, — ale inaczej: pójdziemy ku Kjachcie i albo przejdziemy granice Chin albo udamy się do Bucharyi, żywność wystarczy na drogę, a więc bez namysłu za mną — marsz!“

Całe dwa plutony dobrze uzbrojone, opatrzone w konie i żywność, usłuchały rozkazu Celińskiego i ruszyły za nim z miejsca, opuszczając resztę kolegów z Szaramowiczem.

Jeden tylko Eljaszewicz, wystąpił przeciw Celińskiemu, ale nie mogąc przekonać kolegów, opuścił ich i podążył zrozpaczony do oddziału Szaramowicza.

W taki sposób, przez swoich rozbity Szaramowicz, pozostał ze 150 więźniami nędznie uzbrojonymi i bez żywności, a wysłuchawszy sprawozdanie Eljaszewicza z przerażenia opuścił ręce!

Moskale tymczasem zbliżali się. Więźniowie z Miszyszychy obawiając się srogości postępującego wojska, wysłali z pomiędzy siebie Raynerta*) do komendanta wojsk majora Ricka, z wyrażeniem uległości i żądaniem aby ich odesłano z konwojem do Pussolska. Major Rick przyjął to oświadczenie z całem niedowierzaniem, biorąc je po prostu za podstęp. Aresztowawszy Reynerta wysłał oficera z kilkoma kozakami, dla sprawdzenia posłannictwa więźniów, a gdy takowe w całości potwierdziło się, nakazano im wszystkim zebrać się i przejść za tył wojska. Gdy więźniowie w liczbie 360 nadeszli, otoczyli ich buryaccy kozacy, którym Rick dodał jeszcze pluton regularnego wojska, dla strzeżenia więźniów, a sam z resztą wojska udał się w pogoń za powstańcami, od których oddzielało go niespełna 6 wiorst drogi.

Moskale ujawszy w pierwszej chwili kilkuset więźniów, niesłychanie byli uradowani, mogli bowiem być pewni, że i w innych katorgach nie wszyscy więźniowie należyć musieli do ruchu, i że powstanie z takim panicznym przestrachem głoszone po Irkucku, ma bardzo małe rozmiary. Przeszedłszy zatem osadę Miszyszychę, nie obawiając się więcej sił powstańczych, rozwinęli na nowo przednie łańcuchy strzelców i stanęli nad rzeczką w niewielkiej odległości od zdesperowanego oddziału Szaramowicza.

Pankowski widząc, że Szaramowicz moralnie upadł i jako dowódzca zniedołężniał, poszedł do niego, z przedstawieniem, że czasu tracić nie można w chwili gdy strzały dolatują, i że potrzeba coś stanowczego postanowić, ażeby Moskale resztek powstańców nie zabrali jak baranów; kto więc ma zginąć, niech od razu zginie,

---

*) Tego samego, o którym już wspominaliśmy. Był później skazany na śmierć i rozstrzelany.

i nalegająco zażądał rozkazów. Szaramowicz wezwaniem Pankowskiego otrzeźwił się nieco, a oddawszy jemu część malenką, to jest 25 ludzi, aby ci odstrzeliwali się Moskalom i ich pochód wstrzymywali, sam z resztą to jest ze 120 ludźmi obsaczył mostek na Miszysze, jako punkt ważny w przejściu, w razie gdy Moskale zechcą zaczepnie wystąpić.

Pankowski ze swymi ludzmi mającymi każdy mniej więcej po 5 nabojów (większą część amunicyi zabrał Celiński) rozstawił się na długość linii moskiewskiej, nakazując ostrzeliwanie tylko wtenczas, gdy strzał będzie pewnym, sam zaś z Popławskim i Żmijowskim stanął na prawem skrzydle.

Od Moskali rozdzielała powstańców rzeczka Miszycha z otaczającemi ją zaroślami i drzewami, które dalej na prawo skupiały się w gęsty las. Zasłona dla obu stron była wyśmienitą!

W drzewach wiele moskiewskich kul uwięzło, a ze strony powstańców wtenczas tylko strzał wychodził, gdy łeb kozacki z za krzaków się pokazał. Strzelanie to trwało bardzo długo, bo jedni i drudzy wzajemnie oczekiwali zaczepnego ruchu z bagnetem w ręku.

W tym razie powstańcy nie mogli być pier wszymi, należało się to pierwszeństwo Moskalom, którzy oprócz 400 ludzi piechoty mieli jeszcze 300 buryackich kozaków uzbrojonych w noże i gwintówki.

Powstańcy oszczędzali nabojów, kto zaś wystrzelał skromny swój zapas ładunków, schodził zaraz z linii, dążąc do głównego oddziału Szaramowicza. Tym sposobem z dwudziestu kilku powstańców odstrzeliwających się Moskalom, pozostał nareszcie Pankowski z dwoma tylko kolegami, którzy mieli jeszcze po kilka nabojów. Strzelcy moskiewscy, bez przerwy utrzymywali ogień, a gdy w końcu spostrzegli, że tylko z jednego punktu od czasu do czasu strzał wychodzi, skierowali lufy w tę stronę, sypiąc co chwila gradem kul.

Jeden z towarzyszów Pankowskiego mianowicie Popławski, wystrzelawszy naboje sparł się o karabin, i z całą obojętnością przypatrywał się strzelającym kolegom, których za niedługą chwilę oczekiwało podobne obezwładnienie. Pankowskiego karabin, tymczasem, czy zamoczony, czy zepsuty, wypowiedział posłuszeństwo, tak, że ten mając jeszcze trzy naboje, nie mógł z nich użytku zrobić; zwrócił się przeto do Popławskiego z żądaniem aby tenże, karabin obecnie niepotrzebny, oddał jemu, albo też, jeżeli jest pewnym swoich strzałów użył pozostałe naboje. Popławski będąc pewnym siebie stał się właścicielem ostatnich ładunków i istotnie trzy kule jedna po drugiej, utkwiły w moskiewskich piersiach.

Nadeszła chwila bezbronna; trzeba było albo zejść z linii do oddziału albo wśród strzałów moskiewskich zginąć na stanowisku. Opuszczać miejsca nie mieli ochoty, wystąpili więc obydwa i stanęli na zupełnie odsłoniętem miejscu pragnąc spotkania się z kulami moskiewskiemi. Wówczas trzeci towarzysz, Żmijowski, (student uniw. Kijow.) mając jeszcze nabity karabin, opuścił również ukrywające go zarośla, a wskoczywszy na opodal leżący zwalony cedr, stanął na nim jak tarcza celowa naprzeciw Moskali.

W jednej chwili posłano grad kul Żmijowskiemu, on jednakże stał nieporuszony jak posąg, opierając się wyciągniętą ręką na karabinie.

Odległość pomiędzy Moskalami a nim mogła wynosić najwięcej trzysta kroków. Strzały padały mimo, jakby żaden z nich nie był przeznaczony Żmijowskiemu. Do uszów trójki powstańczej gardzącej śmiercią, dobiegały tylko głosy moskiewskie: „Wot, wot, Palak, strelaj, strelaj“ — i znów zaświstały kule w powietrzu, i znowu jak pierwej chybiły ofiar! Żmijowski wówczas zrobił prawdziwie ruch konwulsyjny i z całej piersi krzyknął do Moskali „Padlecy! strzelać nie umiecie, przypatrzcie się jak należy strzelać!“ Zmierzył i położył trupem najbliżej stojącego Moskala. Był to ostatni polski strzał. Żmijowski znowu zajął pierwotną pozycyą i tylko głosem gromił Moskali: „Tchórze! *podejdźcież tu do mnie, popróbójcie walki*“ — a oni tem więcej ogłupieli, zmięszani, nie śmieli nawet dać ognia. „Podejdźcie do mnie“, wołał Żmijowski, „*ja nie mam czem strzelać!*“ — i rzuciwszy precz od siebie niepotrzebny karabin, rozerwał na piersiach koszulę i odsłonięte wskazując piersi, zawołał ostatniem wysileniem głosu: „*Strzelaj prosto w pierś, ty zgrajo moskiewska!*“ W tej chwili padło kilkanaście strzałów i trzy kule uwięzły w bohaterskich piersiach. Padł w miejscu, które sam obrał na grób dla siebie. Żmijowski był ideałem młodzieży, a zginął tak, jak żył: bohaterem! Męztwo jego utkwiło w sercach tych, co go znali i kochali. Oby i na przyszłość zgon jego był przykładem dla innych.

Pankowski z Popławskim patrząc na śmierć przyjaciela, przygotowywali się do podobnego końca, gdy wtem po za sobą usłyszeli okrzyk, „Niech żyje Polska!“ odbijający się w tysiączne echa po puszczach Syberyjskich. Na ten okrzyk piersi bohaterów zawrzały, uczuli powracające w nich siły i z radością, rzucili się w stronę zkąd głosy dochodziły. Przedarłszy się przez zarośla, ujrzeli z pomiędzy gęstwin zbliżających się powstańców. Lecz jakiż straszny obraz przed stawił się ich oczom: powstańcy ci nie szli ale prawdziwie wlekli się, czołgając po ziemi wśród gęstych krzaków i zarośli. Były to rozbitki oddziału! W tejże chwili moskiewskie trąbki dały sygnał „Zbor i odstuplenie!“ Czerń sołdatów zaczęła się zbiegać w kolumny i tylko jakiś niewyraźny gwar dolatywał z oddali.

Ci, naprzeciw których spieszył Pankowski z Popławskim, byli to ostatni obrońcy z pod mostu Miszychy, w liczbie kilkunastu, wszyscy okryci licznemi ranami; krew obficie płynąca zmieniła ich w jakieś widma krwawe, jeszcze oddychające ale już bezsilne.

Pomiędzy nimi Szaramowicz, Eljaszewicz, Kwiatkowski, Mysłowski ciężko ranni, nie mogący prawie poruszać się, wracali po starciu z Moskalami.

Jak tylko Pankowski z towarzyszami zajął swoje stanowisko nad rzeką Miszychą, oddział moskiewski, wystąpił podsuwając się bliżej ku mostowi, gdzie był Szaramowicz w zasadzce. Moskale jednakże zwietrzyli ją i wstrzymali się, a gdy strzelcy Pankowskiego po wystrzelaniu wszystkich nabojów, powracali do Szaramowicza, ten widząc, że wyczekiwaniem nic nie zyska, sformował swoich i z okrzykiem „Jeszcze Polska nie zginęła!“ rzucił się na Moskali. Przestrzeń zanadto wielka, jaką powstańcy przebiedz mieli, sprawiła, że przypuszczeni na pewny strzał, przyjęci kilkakrotnym ogniem, zostawiwszy kilkunastu zabitych cofać się musieli. Zformowani na nowo, rzucili się powtórnie, lecz i tym razem atak został bezskutecznym. Moskale dali po trzykroć ognia, a powstańcy przerzedzeni kulami zmuszeni byli do odwrotu. Jeszcze raz Szaramowicz z resztą swoich postanowił rozpaczliwy krok ataku. Teraz już chodziło poprostu tylko o śmierć prędszą. Wtłaczano się gwałtem na moskiewskie bagnety, wdzierano się w środek szeregów moskiewskich, walcząc kosą, kijem lub rękami; była to rzeź, w której oczy wydrapywano, zagryzano zębami, dławiono za gardła! Walka wściekła zacierająca zupełnie uczucia. Rozpacz podsycała, ale siły coraz więcej słabły; nakoniec ich zabrakło. Z trzeciego tego ataku, mało kto ocalał.

Szaramowicz z kilkunastu pozostałymi opuścił plac boju opanowany przez Moskwę i zasłany trupami walecznych powstańców. Ostatni z nich Mysłowski będąc już rannym, z dwoma jeszcze kolegami, nie chciał zejść z pola walki, zatrzymując się i drwiąco wyzywając Moskali do ręcznego boju. Moskale po tym wirze bojowym, który ich równie wiele kosztował, nie spieszyli się ze skarceniem śmiałka, aż dopiero młody oficer moskiewski nazwiskiem Porochow, inżynier z generalnego sztabu, biorąc przykład z dopiero co widzianego bohaterstwa, wybiegł z szeregów i zmierzając wprost ku trójce stojących Polaków, powalił zaraz strzałem z rewolweru jednego z nich, drugiemu *szaszką* rozpłatał głowę a zwijając się jak wąż zwrócił się nakoniec zwycięzko ku Mysłowskiemu. Mysłowski ręką zasłonił głowę przed wymierzonem cięciem, a dostawszy w nią silne uderzenie, które i głowę rozcięło, schwycił Porochowa lewą ręką za kark i powalił go o ziemię. Zaczęła się walka na ziemi, w której Moskal musiał wziąć górę nad rannym. Mysłowski jednak jak tygrys wszystkie palce wpiął w jego szyję i już zadusził przeciwnika, gdy zwinny Moskal ujął za pałasz z zamiarem przebicia Mysłowskiego. Lecz wtem jeden z cofających się powstańców, wieśniak, Mazur, pomimo że sam ranny, widząc śmierć grożącą Mysłowskiemu, podbiega z kosą i potężnem cięciem rozbija głowę Porochowowi. Jednocześnie inny podoficer moskiewski z dwoma sołdatami rzucił się na pomoc oficerowi. Kościuszkowski Mazur nie traci głowy i rozmachawszy w młynka kosę gruchocze Moskala jednego po drugim. Uporawszy się tak z czterema. Mysłowski z Mazurem, obydwa upływem krwi osłabieni, zwrócili się ku swoim i pomimo gradu kul, które za nimi posłano, wszedłszy w głąb lasu, złączyli się z Szaramowiczem. (C. d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom czwarty.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

Hektor powstaje z grobu.

Przez chwilę stał zatrzymawszy dech w sobie, okamieniały ze zdumienia. Potem począł powoli i uważnie, krok za krokiem tunel oglądać. Zrobiwszy około stu kroków, natknął się, ku wielkiemu swemu uspokojeniu, na Jacka Hamlina, siedzącego na kamieniu. Był mocno wzruszony, a oświadczenie jego, że nie ruszał się z miejsca, na którem Gabryel go pozostawił, przekonało tego ostatniego, iż choroba przeszła w stan zapalny i gorączkowy. Gabryel pospiesznie pochwycił go na ręce i natychmiast wyniósł z tunelu.

Dopiero na świeżem powietrzu oba poczęli szybko odzyskiwać energią Jack był lekkiem piórkiem w potężnych rękach Gabryela, który szybko kroczył pomiędzy jodłami.

Tu uczuł się bezpiecznym do świtu i począł zbierać liście i gałązki dla urządzenia łoża dla swego bezsilnego towarzysza. Oddech rannego stawał się coraz krótszym; Hamlin począł mówić prędko i bez związku: o Olly, Ramirezie, pięknej dziewczynie, której portret nosił na piersiach, o samym Gabryelu.

Raz czy dwa razy głos jego podniósł się aż do krzyku; potem, ku wielkiemu zdumieniu Gabryela, chory począł śpiewać i nim mu Gabryel zdołał położyć rękę na ustach, wyśpiewał cały wiersz jednej ludowej ballady. Rzeka szumiała u stóp ich, jakby towarzyszyła śpiewowi; szemrzące jodły wzdychały unisono; gwiazdy świeciły nad głową... i wtedy Gabryelowi, wydało się, że na śpiew rannego odpowiadało jakby jakieś echo z Gulch. Na chwilę zatrzymał dech w sobie, miotany strachem i zarazem obawą, czy też rzeczywiście był to głos Olly? Majaczący w gorączce i leżący tuż koło niego Hamlin, na zapytanie jego odpowiedział nowym wierszem... echo znowu odpowiedziało z doliny! Gabryel nie wahał się dłużej: z gorączkowem wzruszeniem, drżącemi rękami uzbierał suchych gałęzi i szyszek, ułożył w kupę i podpalił. Po chwili wysoki słup dymu wzniósł się w górę; następnie w lesie dało się słyszeć łamanie, trzask i szybkie kroki dwóch osób. I nim twardogłowy Gabryel zdołał przyjść do siebie ze zdumienia, zadyszana Olly rzuciła mu się w objęcia, podczas gdy jej towarzysz, wierny Pete, padł przy boku swego ranionego i pozbawionego przytomności pana.

Olly pierwsza odzyskała mowę.

— Dlaczego nie napisałeś nam ani słowa o tem, gdzie się ukrywasz? — zapytała niecierpliwie — dlaczego ukrywasz się tu na wzgórzu? dlaczego pozostawiłeś mnie samą w Wingdam? dlaczego nie wołałeś, zamiast śpiewać?

Ale Gabryel zapomniał o wszystkiem, z wyjątkiem teraźniejszości i zawołał, obejmując Olly:

— Więc to jest w samej rzeczy mała moja dzieweczka? co? Więc w samej rzeczy przybyła do swego starego brata Gaba? Niech ją Bóg błogosławi za to!

Hamlin w przystępie gorączki, znowu zaśpiewał.

— On majaczy w gorączce dodał Gabryel; dostał strzał w nogę, ratując mnie; a ja właściwie nie wart jestem ratunku — to on śpiewał.

Olly, powodowana kobiecym instyktem, podbiegła do Hamlina.

— Gdzie jest raniony? Pete? zapytała — czy umrze?

Pete, nie mający zaufania w żadnej leczniczej metodzie oprócz swojej własnej, odrzekł ze zwątpieniem:

— Źle jest, panno Olly, to fakt... ale teraz, gdy już jesteśmy w stanie zająć się nim, możemy mieć nadzieję. Brat panienki, to rzetelny człowiek... umie chodzić koło chorych; ale brak mu profesyjnej wiadomości sposobów jakiemi massa Jack zwykle się leczy.

To rzekłszy Pete zdjął ze swych ramion torbę podróżną a z niej wydobył małą puszkę z lekarstwami, z poważną miną domowego lekarza, zapóźno przywołanego dla poprawienia błędów wiejskiego cyrulika.

— Jak dostaliście się tu? zapytał Gabryel Olly — jak przyszłaś na myśl, żem się tu ukrył?...

— Gdym się przebudziła w Wingdam po oddaleniu się Jacka — odrzekła Olly — znalazłam adwokata Maxwella, który mnóstwo pytań mi zadał. Domyśliłam się prędko, żeś się znowu na dudka wystrychnął — to straszne rzeczy! — adwokat powiedział, że jesteś aresztowany jako morderca... ty, który musze krzywdy nie zrobisz! potem nastąpiły pytania o Julii, jak ona jest względem ciebie usposobiona... a jednak jeżeli była kiedy jaka kobieta, któraby otaczała ciebie miłością, Gabie, to była nią Julia... ty wiesz o tem tak dobrze jak i ja... Gdy zauważył, że przeciw Julii nic ze mnie nie wydobędzie, powiedział Petemu by mię bezwłocznie do ciebie odprowadził, ponieważ członkowie komitetu bezpieczeństwa zamierzają pochwycić cię, nim sprawa twoja dojdzie do sądu. Sądził zaś, że nie odważą się napadać gdy ja będę przy tobie... i ja nie radziłabym im próbować tego!... Pete także!... niema niezawodnie lepszego murzyna na całym Bożym świecie, jak ten zacny starzec. Pete powiedział mi, że ty musisz wiedzieć gdzie się Jack ukrywa... Otóż i poszedł ze mną. A gdyśmy przybyli, tyś już umknął, szeryf także, a z komitetowych większą część pochłonęło trzęsienie ziemi! Okropne to być musiało, Gabie.

— Ah! wszystko jest w porządku jak należy, Gabie — ciągnęła dalej Olly z otuchą — komitetowi rozpierzchli się... ile ich po trzęsieniu ziemi pozostało żywych; szeryfa dotąd nie odszukano. Trzęsienie ziemi wytrzęsło wszystkim myśl uganiania się za tobą!... Więc wsiądziemy wszyscy do powozu, który Pete zamówił dla nas, i który o zachodzie słońca będzie czekać przy Reservoir Gulch. A potem będziemy mogli, jak utrzymuje Pete, odjechać do Stockton i Frisco, a następnie dalej, do miejsca zwanego San Antonio, gdzie i sam djabeł nie radziłby nikomu szukać nas. Tam będziemy mogli pozostawać dopóki cała sprawa nie rozleci się na cztery wiatry, dopóki Jack nie wyzdrowieje, a Julia nie powróci.

— A jeżeli Julia nie powróci?

— Posłuchaj, Gabryelu — odrzekła Olly prędko i gwałtownie — czyż znowu chcesz dziwaczyć i na śmiech się narażać? Jak gdyby ta kobieta mogła cię kiedy opuścić! Cóż to sobie myślisz? gdyby ona wiedziała co się dzieje, to i dzikiemi końmi niktby jej nie oderwał od ciebie! Nie, Gabryelu, nie bądź gapiem!

Gabryel umilkł.

Tymczasem Hamlin, wskutek działania jakiegoś środka ból uśmierzającego, uspokoił się. Gabryel, który nigdy nie doznawał żadnych dolegliwości z powodu nieregularnego trybu życia, nachylił się, ciągle trzymając Olly za rękę i usnął snem sprawiedliwego: nawet (co przykro jest nam wyznać o naszym Gabryelu bohaterze) zachrapał potężnie. Po chwili i Olly uległa pociągowi do snu, spowodowanemu chłodem nocy i osłonięta szalem Hamlina położyła głowę na szerokiej piersi brata i także usnęła. Tylko Pete czuwał, straż trzymając; oświadczył bowiem, że stan Hamlina wymaga całej jego uwagi.

O wschodzie słońca Olly ocknęła się pierwsza i rozbudziła swych towarzyszy. Gabryel przebudzał się powoli i z miną człowieka, który się wstydzi, że spał; Jack Hamlin porywczo i jakby chciał kogo wezwać do walki. Ubolewam nad tem, iż muszę powiedzieć, że Petego przywitał wcale niewłaściwie.

— A więc aż tu wlazłeś, wietrząc moje ślady, ty czarny niegarbowany idioto! zawołał potrząsając mu rękę — podczas gdy ja to i owo w Wingdam pozostawiłem i właśnie byłem w drodze ku zreformowaniu się i rozpoczęciu nowego życia!... Jak się panna Olly ma? przebaczysz mi, że nie wstaję... chodź tu dziecko, i pocałuj mnie!... Jeżeli ten mój murzyn zaniedbał choćby najmniejszą rzecz, to już ja go nauczę! Ale do licha z tem wszystkiem!... Czegoż tu stoicie i czekacie? Już nastał dzień i powinniśmy wyruszyć do Reservoir Gulch. Chodźmy, kochane dzieci! piknik już się zakończył!

Po takiem wymownem wezwaniu Gabryel podniósł się i z wielką uwagą biorąc Hamlina na ręce, rozpoczął szczególną procesyą. Hamlin, który zapewne coś śmiesznego w sytuacyi dopatrzył, niemiłosiernie wydrwiwał człowieka, niosącego go na ręku jak bezsilne dziecko; Olly i Pete szli powoli za nimi.

I tak wędrowali wśród różanego brzasku porannego. Od czasu do czasu słabo i niewyraźnie dochodziły ich dźwięki oddalonych głosów. Powoli rozpościerało się światło; poranek występował z poza wzgórków — nakoniec ukazało się wejście do kanonu w ponurych swych zarysach. Olly wydała krzyk i wskazała na jakiś ciemny przedmiot, poruszający się przy wejściu. Był to oczekujący na nich powóz. Na krzyk Olly woźnica gwizdnął i wesoło przyspieszyli kroku. Jeszcze chwila, a znaleźliby się poza obrębem niebezpieczeństwa.

Wtem ozwał się głos, jakby z rowu przed nimi, i grzmiąco zawezwał Gabryela by się zatrzymał. Ten mimowolnie był posłuszny; tylko jedną ręką Hamlina bliżej do siebie przycisnął, drugą zaś zasłonił Olly. Następnie podniosła się z rowu postać i zastąpiła im drogę.

Był to mały człowieczek, obryzgany błotem, w odzieży poszarpanej przez krzaki; zmęczony wskutek wysilenia i drżący z nerwowego wzruszenia, ale groźny. Człowiek, którego Gabryel i Hamlin natychmiast poznali. Był to Joe Hall, szeryf z Calavera: w prawej ręce trzymał pistolet, podczas gdy drugą ręką, dla utrzymania się na nogach, musiał oprzeć się o drzewo. Instyktowo poznali oba, że pomimo, iż ręka była słabą, lufa prosto na nich była wymierzona.

— Gabryelu Conroy! wzywam cię byś się wstrzymał! zawołał Joe.

— On ma nas obu na celu jednocześnie!... spuść mnie na ziemię! szepnął Hamlin pospiesznie, — spuść mnie!... zmyli kierunek!...

Ale Gabryel szybkim i zręcznym ruchem, niezgodnym ze zwykłą jego flegmą, w jednej chwili przerzucił Hamlina na drugą rękę i zabezpieczywszy w ten sposób swój ciężar, własne prawe ramię nastawił naprzeciw lufy pistoletu Halla.

— Gabryelu Conroy! jesteś moim więźniem! powtórzył głos.

Gabryel nie ruszył się. Ale ponad jego ramionami nagle ukazała się długa połyskująca lufa własnego Jacka ulubionego i wiernego pistoletu dwururkowego, a nad nią zabłysły oczy kulawego jego właściciela. Szanse wyrównały się.

Potem nastąpiło grobowe milczenie.

— Spuszczaj kurek! zawołał Jack spokojnie — a mierz dobrze, Joe. Bo gdy go nie trafisz, zginąłeś; a czy trafisz czy chybisz, ja cię trafię z pewnością.

Lufa pistoletu Halla zadrżała na chwilę, wskutek fizycznego osłabienia, a nie strachu.

— Wszystko jest w porządku, Jack! rzekł tajemniczo Joe — wszystko w porządku! Zabije-

cie mnie! Wiem o tem. Ale zawsze będziesz musiał przyznać, że spełniłem moją powinność jako szeryf! powiesz to zwłaszcza tym, których głosy przechyliły wybór na moję stronę... Ja was nie przepuszczę! Całą noc upędzam się za wami po kancnie. Jeżeli niebędę mógł was uwięzić, to postanowiłem paść tu na tem miejscu gdzie stoję. Do powozu wiedzie droga tylko po moim trupie!

A gdy to mówił, wyprostował się całą swą postawą, niebardzo zresztą wyniosłą i oparł się, o drzewo, z bronią zawsze na Gabryela wymierzoną. Hamlin uśmiechnął się. Ale wtem nagle uczuł jak ramię Gabryela powoli opuszczało się tak że wkrótce znalazł się u nóg swego towarzysza na ziemi; poczem Gabryel spokojnie podniósł się i stanąwszy naprzeciw lufy pistoletu szeryfa powiedział.

— Gotów jestem iść z panem, panie Hall. Ale chciałbym prosić o jednę małą łaskę. Ten biedny młody człowiek, którego pan zraniłeś niechcący — dodał wskazując na Hamlina, który wił się z gniewu i zgrzytał zębami — nie powinien być ze mną! On został wplątany w tę historyą... Ja gotów jestem iść z panem, panie Hall... i przykro mi, iż z mojej przyczyny zadałeś pan sobie tyle trudu.

ROZDZIAŁ IV.

Skutki burzy.

Na kwadrans przedtem nim posłaniec Piotra Dumphy przybył do kancelaryi Poinsetta, ten otrzymał nagle wezwanie. Doszła do jego rąk telegraficzna depesza z San Antonio. Brzmiała ona tak:

„Kościół misyjny zawalił się. Ojciec Felipe uratowany. „Św. Trójca“ w gruzach, a Dolores znikła. Mój dom ocalał. Przybywaj natychmiast.

„Maria Sepulvida.“

Następnego dnia, popołudniu o czwartej godzinie, Artur Poinsett był już w San Geronimo; znajdował się zatem jeszcze o piętnaście mil od celu swej podróży.

Tu nie czekał na powolny dyliżans, ale popędził na rączym koniu ku misyi. Po upływie godziny uczuwać począł pewne uspokojenie, ujrzawszy ciemnozielone szczyty drzew misyjnego ogrodu, a nad nimi białą kopułę jednej z wież misyi; w zdumieniu począł przecierać sobie oczy. Gdzie druga wieża? Tylko jedna pozostała! Kościół misyjny musiał runąć!

Artur porzucił prostą drogę, i puścił się w bok po otwartej równinie do rancho pod „Św. Trójcą.“

Tu przynajmniej wszystko pozostało niezmienionem; tu panowała martwa, czcza jednostajność na ziemi i niebie; z rozpalonego gruntu sterczały rzadkie kłosy wiatrem wysuszone; tu był wielki przestwór wiecznego milczenia, z którego szalejący wicher ani jednego dźwięku wydobyć nie zdołał.

W tem koń jego cofnął się i stanął dęba, tak, że mniej zręcznego jezdca mógłby z siodła wyrzucić. W poprzek drogi ukazała się rozpadlina na trzydzieści stóp szeroka i tyleż głęboka... A na dnie jej sterczały w straszliwym nieładzie zwaliska korralu pod „Św. Trójcą.“

Zrazu mniemał Artur, iż rozpadlina ta powstała wskutek ogromnej posuchy, co się często zdarza; ale drugie spojrzenie przekonało go o zupełnie odmiennym charakterze tego fenomenu. Grunt nie pękł, ale zapadł się. Dno tej doliny *en miniature* pokryte było taką samą trawą i zielskiem jakie rosły w górze na powierzchni.

Pomiędzy rozpadliną a pochyłością wzgórza po drugiej stronie nie ukazywał się żaden dach, ani mur, ani nawet żadne zwaliska!

Złowrogi dreszcz przebiegł po żyłach; na chwilę, cugle wypadły z bezwładnych palców. Na brzegu tej otwartej przepaści wyczytał Artur Poinsett cały złowrogi los rancha. Podczas katastrofy, która wstrząsnęła całą tą równiną, rancho zapadł się i znikł.

Zaklął straszliwie — co mu nadzwyczaj rzadko wydarzało się i w dzikim galopie puścił się w kierunku misyi.

Kilka światełek połyskiwało w wązkiej uliczce miasteczka gdy przybył na plac przed kościołem. Ale i przy tem niepewnem świetle mógł się przekonać, że jedna z wież zawaliła się, a refektarz przedstawiał tylko bezkształtną ruinę. kościół przedstawiał jakby morze światła, zapełnione modlącymi się; przed wielkim ołtarzem odprawiał nabożeństwo ojciec Felipe; ołtarz okryty był czarną krepą. Z pierwszych słów wymówionych przez księdza, pokazało się, że było to nabożeństwo za umarłych!...

...Cicho i łagodnie zadźwięczał mu w uszach głos ojca Felipe i delikatna ręka dotknęła jego ramienia. Modlący się już wyszli; w kościele było ciemno, tylko kilka świec jeszcze paliło się na wielkim ołtarzu.

— Wiedziałem, że przybędziesz, mój synu, rzekł ojciec Felipe — ale gdzie ona? czyś jej tu z sobą nie sprowadził?

— Kogo? zapytał Artur, usiłując opamiętać się.

— Kogo? niech nas święci mają w swojej opiece, don Arturo! Tej, która po pana posłała— donny Maryi! Czyś nie otrzymał wiadomości od niej?

Artur odrzekł, że tylko co przybył i pospieszył do misyi.

— Odprawiałeś mszę za umarłych, ojcze Felipe?... więc były tu nieszczęścia?... Zapytał.

— O matko przenajświętsza! zawołał ojciec Felipe, dziwnie wypatrując się w Artura, — więc nie wiesz za kogo nabożeństwo to odprawiało się? czy nie wiesz, że święta odeszła od nas? że donna Dolores poszła po nagrodę?

— Dowiedziałem się z telegramu donny Maryi, że znikła, wybełkotał Artur, czując, że sam blednie i głos mu drży.

— Znikła! powtórzył ojciec Felipe z lekkim odcieniem zniecierpliwienia w głosie. — Znikła! ach! w samej rzeczy znikła, don Arturo, na zawsze!

Następnie ojciec Felipe w krótkich zarysach przedstawił mu obraz katastrofy. Było to powtórzenie historyi z corralem. Trzęsienie ziemi nie tylko obaliło ściany rancha pod Św. Trójcą, ale rozdarło pod nim ziemię na pięćdziesiąt stóp głębokości; nikt nie ocalał. Don Juan, donna Dolores, wierna Manuela i Aleksander majordomo, wraz z kilkunastu służącymi zginęli pod jego gruzami. Ani jeden nie uszedł, ziemia przy drugiem wstrząśnieniu zwarła się nad zwaliskami?

— Ale chodź, mój synu, powiedział w końcu ojciec Felipe, chodź ze mną do mojego pokoju! Dzięki przenajświętszej dziewicy, mam jeszcze przytułek dla ciebie.

I ująwszy Artura za rękę otworzył drzwi do zakrystyi i przez mały ogródek zasypany gruzem, poprowadził do niskiego domku, dawniejszej szkółki misyi.

— Mam tu coś dla ciebie rzekł ojciec Felipe, wszedłszy do pokoju i przerzucając papiery na biórku — coś pilnego, niezawodnie pilnego. Jestto depesza telegraficzna przesłana do mnie dla wręczenia tobie.

Wziął depeszę i rozpieczętował ją. Była od Dumphyego i zawierała te słowa:

„Gabryel Conroy uwięziony, za zamordowanie Wiktora Ramireza. Co pan proponujesz? Odpowiedź!“

Zerwał się na równe nogi.

— Kiedy następna poczta przejeżdża przez San Geronimo? zapytał pospiesznie.

— O północy, odrzekł ojciec Felipe — ale przecież nie myślisz, mój synu...

— A teraz dziesiąta, przerwał spoglądając na swój zegarek. — Czy możesz mi ojcze dostać świeżego konia... to sprawa bardzo ważna!... chodzi o... życie lub śmierć.

Ojciec Felipe zadzwonił i wydał służącemu rozkazy. Tymczasem Artur, usiadłszy przy stole pisał odpowiedź na telegram.

— Czy mogę spuścić się na to, że jak można najprędzej prześlesz to ojcze do stacyi telegraficznej? zapytał, oddając papier ojcu Felipe.

Ojciec Felipe wziął go, ale z niespokojnością spojrzał na Artura, a potem powiedział z wahaniem:

— A donna Maria?... do tej pory nie widziałeś jej! Przecież zobaczysz się z nią pod „Błogosławionym Rybakiem“ choć na chwilę?

— Obawiam się, mój ojcze, że nie będę mógł. Proszę cię byś oświadczył jej, że niespodziewanie zostałem nazad odwołany i niemiałem czasu rozmówić się z nią.

Nim ojciec Felipe zdobył się na odpowiedź, wszedł służący z oznajmieniem, że koń gotów.

— Dobranoc, ojcze Felipe, zawołał Artur, gorąco ściskając obie ręce zakonnika — dobranoc! Serdecznie dziękuję za konia!...

Z lekkim uśmiechem ojciec Felipe wybełkotał jakieś pobożne pożegnanie, i zażył tabaki.

Ale kłopoty ojca Felipe nie skończyły się z nocą. Następnego dnia rano ukazała się podczas śniadania donna Maria Sepulvida, podejrzliwa, niezadowolona, gniewna.

— Powiedz mi, ojcze Felipe, zapytała cierpko, czy don Arturo tu noc przepędził?

— Nie, moja córko, odrzekł zakonnik oględnie — był tylko małą...

— A kiedy odjechał? przerwała donna Maria.

— O dziewiątej.

— Dokąd? pytała dalej, coraz bardziej rumieniąc się.

— Do San Francisco, moje dziecię — sprawa największej wagi.. ale usiądź na chwilę, proszę!.. ta niecierpliwość niedobra jest, moja córko!

— A wiesz, ojcze Felipe, że on odjechał, nie widząc się ze mną? pytała dalej donna Maria, coraz bardziej głos podnosząc.

— Być może... bardzo być może!... Ale otrzymał depeszę... niezmiernie ważną!...

— Depeszę! powtórzyła donna Maria gniewnie.., od kogo? Czy nie od pana Dumphy?

— Sądzę, że od pana Dumphy, wybełkotał ojciec Felipe, — przynajmniej odpowiedź, którą mi don Arturo powierzył do przesłania i która zawierała tylko wyrazy: „Powracam natychmiast“ — była adresowana do pana Dumphy. Ale nie wiem jaką wiadomość don Arturo otrzymał.

— Nie wiesz, ojcze! zawołała donna Maria zrywając się, głosem prawie chrapliwym i z ogniem

w oczach — nie wiesz!... No, to ci powiem! Była to ta sama wiadomość, która tu się zawiera.

Wydobyła telegram z kieszeni.

— Czytaj, ojcze! zawołała — to jest owa wiadomość! To był powód, dla którego powrócił, uciekł jak tchórz! To był powód dla którego nie przyszedł do mnie, ten zdrajca!... O! jakże go nienawidzę!... czytaj, ojcze, czytaj!... dla czego nie czytasz?... (A tym czasem sama tak wymachiwała papierem, że ojciec Felipe żadną miarą pochwycić go nie mógł). Czytaj!... i przekonaj się!... Czytaj i dowiedz się, że jestem zrujnowana!... jestem żebraczka!... jestem kobieta oszukana, odrwiona... przez tych dwóch łotrów... przez tego Dumphyego i tego... tego... Artura.. Poin.. setta!... Czytaj!.. czytaj!... A może i ty zdrajcą jesteś?... I ty, i Dolores... i wszyscy!...

Zmięła papier w ręku, potem rzuciła go na ziemię, pobladła i następnie całą swą długością wśród nerwowych kurczów upadła.

Ojciec Felipe spojrzał naprzód na papier, a potem na drętwiejące ciało swej przyjaciółki. Był on mężczyzną — starym mężczyzną, mającym wiele doświadczenia pod względem płci słabszej — i z żalem powiedzieć muszę, że naprzód podniósł papier i wygładził go. Była to telegraficzna depesza zawierająca następne wyrazy:

„Ubolewam, że muszę donieść, iż tylko co otrzymałem telegram, że trzęsienie ziemi pochłonęło żyłę kruszcową w Conroy! Wszystko przepadło! Zaliczki dalej udzielać nie mogę, ani akcyi sprzedać!"

„Dumphy."

Następnie ojciec Felipe nachylił się znowu podniósł donnę Maryę.

— Biedna kobiecina! mruknął.

(C. d. n.)

JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA!

Jeszcze Polska nie zginęła!
Mimo losów kleszcze;
Burza z dębu liście zdjęła,
Nie porosły jeszcze.
Ale w odrodzenia wiośnie
Zieleń drzewo stroi,
Dąb znowu kwieciem porośnie...
Bracia! bracia moi!
Hej! dłoń w dłoni! hej! do koła!
W górę serca! w górę czoła!

Jeszcze Polska nie zginęła!
Ma nad sobą Boga!
Jeszcze nas nie ogarnęła
Niewiara i trwoga.
Ani nam hydra zwątpienia
Ducha nie rozbroi,
I nadejdzie kres cierpienia...
Bracia! bracia moi
Hej! dłoń w dłoni! hej! do koła!
W górę serca! w górę czoła!

Jeszcze Polska nie zginęła!
Mimo jej morderce;
Jeszcze krew się tam nie ścięła,
Gdzie uderza serce.
Jeden uścisk bratniej zgody
Rany nam zagoi;
I zabłyśnie dzień swobody...
Bracia! bracia moi!
Hej! dłoń w dłoni! hej! do koła!
W górę serca! w górę czoła!

Jeszcze Polska nie zginęła!
I gwałt jej nie złamie;
Od wieków jakie podjęła
Takie niesie znamię!
T. V. N. 37.
Nasza wolność duma, męztwo,
Jak opoka stoi.
Zagrzmi i dla nas zwycięztwo...
Bracia! bracia moi!
Hej! dłoń w dłoni! hej! do koła!
W górę serca! w górę czoła!

Jeszcze Polska nie zginęła!
I nigdy nie zginie!
Krew co w żyłach nam płynęła,
I dziś jeszcze płynie,
I każdy cierń nowy w ranie
Siły nasze zdwoi,
Ojczyzna znów wielką stanie...
Bracia! bracia moi!
Hej! dłoń w dłoni! hej! do koła!
W górę serca! w górę czoła!

M. Rodoć.

Z DZIEJÓW UNII

przez

JULIANA BARTOSZEWICZA.

(Wyjątek z niedrukowanego dzieła.)

ROZDZIAŁ XX.

(Ciąg dalszy.)

Koniski, Rusin litewski, doskonale mówiący po polsku, był ideałem fanatyzmu i przewrotności, na co go wyrobiło wychowanie moskiewskie. To już zwycięzki władyka tryumfator, organizator reakcyi schizmatyckiej. Głównym dogmatem jego współwyznawców w Polsce było od tej chwili, wierzyć ślepo w synod petersburski, od niego wyglądać nauki, pieniędzy, łask i orderów. Pierwszy Koniski, jak Mahomet, wyrozumował nowy sojusz, połączył wiarę z polityką. W Boreckim i dawnych apostołach rzezi było więcej politycznych namiętności, w Koniskim było już Piotrowe doktrynerstwo. Wiary użył władyka za narzędzie, ażeby co prędzej spełnić słowo moskiewskiej ewangelii, że będzie jedna owczarnia i w carstwie i w Rusiach polskich pod arcypastorałem ukoronowanego i żonatego patryarchy albo nawet carycy-patryarchini.

Koniski pierwszy był wśród Polski apostołem tej policyjnej cerkwi, która carom oddaje władzę nad pasterzami i sumieniami. Dotąd od tej świetnej nauki strzegła Ruś nieunicką w Polsce cywilizacya szlachetnego narodu. Ale car znalazł sposób na usunięcie tej Rusi z. pod wpływu moralnego Polski.

Koniski przez fanatyzm i wyrachowanie, wyrodzony Rusin, barbarzyństwem kaził swoję ojczyznę. Miotał na nas potwarze. Napisał ową sławną Historyą Russów, w której ze złą wolą i z zawziętością fanatyzmu przedstawiał Polaków przy każdej sposobności za tyranów i morderców. Umyślnego fałszu używał często za narzędzie. Polacy przez całe tysiącolecie historycznego bytu swojego, nie popełnili tyle egzekucyi, ile Koniski każe ich spełniać hetmanom i szlachcie polskiej na Rusi w ciągu buntów kozackich. Czytając dopiero Koniskiego, poznajemy, jak dalece człowiek może się poniżyć w swoim upadku. Zmyślał fanatyk nazwiska dla ubarwienia powieści, dla rozbudzenia namiętności, kłamał tak dobrze, jak najbezczelniejszy mikołajowski oprawca. Cała „Historya Russów" Koniskiego, jest, że się tak wyrazimy, potopem krwi i łez, obrazem zabójstw. Polakom dzisiejszym wstyd byłoby za przodków, gdyby chociaż setna część tego, co rozpowiada Koniski, było prawdą. Imaginacya hiszpańska nie zdobędzie się na podobne wymysły, na jakie zdobywała się moskiewska wierna służba Koniskiego. Powieści o inkwizycyi są niczem w porównaniu z tem, co Polacy Koniskiego wyrabiali. Naród, który się zbrodnią nie splamił, na którego łonie mógł spać król każdy spokojnie, naród wśród którego, Rulhière to powiada, w stanie zupełnego rozprzężenia Rzeczypospolitej mniej było o prostych zbrodniach słychać, niż w silnie rządzonej Francyi, ten naród miał za Stefana, za Wazów, w dobie jeszcze swojego blasku i potęgi, wymyślać byki miedziane, w których palił swoje ofiary, ten naród po każdem swojem zwycięztwie nad kozactwem miał tysiącami wieszać jeńców i sadzać na pale, watażkę Kosińskiego zamurował w wieży. Ciekawaby to doprawdy rzecz była wyciągnąć z dzieła Koniskiego materyały szczegółowe do tej statystyki karnej. Zresztą jak namiętny władyka dzieło swoje napisał z zamiarem, tak i Moskale na niem się uczą historyi w celach zaborczych. Wprawdzie pół jej wierzą, a pół nie wierzą, ale jedno drugiemu nie szkodzi. Nam i Europie bezczelnie podają wszystko za prawdę, a małoż to czytaliśmy takich artykułów pisanych z zamiarem! W razie potrzeby pierwszy lepszy erudyt moskiewski, napisze uwierzywszy Koniskiemu, w pierwszej lepszej gazecie europejskiej, że historya Rusi pod panowaniem Polski, to morze łez i krwi, że unia, to wymysł najohydniejszy szatana*). Nie Koniski jeden kłamie, są tłumy całe fałszerzy historycznych, którzy zmyślają fakta i dokumenta.

W izbach sejmowych za Wielkiego Sejmu powiedziano sprawiedliwie o Koniskim: „Podniesiony fanatyzm obrał za środek do poniżenia naszych dysunitów w moskiewską niewolę, nas przeznaczył dla moskiewskich niewolników na zdobycz." (Relacya deputacyi do egzaminowania sprawy o bunty oskarżonych str. 43.)

Carowie przy takim świętym pasterzu, mogli się wziąć i do rzeźniczej propagandy. Ale Koniski czekał jeszcze na Katarzynę, w której ustach podziwiał i ducha „apostolskiego i wnętrzności macierzyńskie dla jednowierców." (Annexa do Relacyi, str. 10). Nigdy jeszcze płaskie pochlebstwo nie zaszło tak daleko. Duch apostolski w ustach Katarzyny, wspólniczki zabójstwa męża, publicznej nierządnicy, to coś tak daleko jedno od drugiego, jak niebo i piekło.

I zaczęły się za czasów, kiedy ten duch apostolski zstąpił na ziemię polską, krwawe rzezie na biednej Ukrainie, która tylko co na mogiłach swoich świeżą ludnością porosła, zielonym rozkwitała majem! Ten lud, który zdziczał w ciemnocie, a który z głębokiego upadku dźwigała błogosławiona ręka Bazylianów, missyi katolickich i zacnego biskupa chełmskiego Ryłły, ten lud pociągany przez zbrodniarzy, jednego na tronie, drugiego w mitrze władyczej, przypomniał sobie Chmielnickiego i walczyć znowu począł niby za wiarę i narodowość, to jest dla utorowania drogi Moskwie przez Polskę do serca Europy. Biedny, nieszczęśliwy ten gmin ukraiński! Narodowość jego i wiara były tam, gdzie biskup Ryłło; porzuciwszy go, dostał się w ręce okropnych nauczycieli! Biedny lud, nieszczęśliwa z nim Polska!

Zniszczona tylu wojnami i hajdamactwem, przez całe panowanie Sasów Ukraina, niedawno

*) Było dawniej w „Przeglądzie poznańskim" o niegodziwem dziele „Etudes sur la Russie" osnutem na opowiadaniu Koniskiego.

co stepem nagim świeciła. Szlachta mieszkać tam nie chciała dla rozbojów od Siczy, lud uciekał, panowie ukraińscy po innych stronach Rzeczypospolitej mieszkali w starożytnych zamkach. Bohaterskie w pewnej mierze Chmielnickiego wyprawy, obumierając zwolna, coraz słabsze, zamieniły się wreszcie w proste rozboje. Żadna idea tak nisko jeszcze nie spadła, jak myśl Chmielnickiego; potępiło ją najbardziej to, co się działo na Ukrainie za panowania Sasów. Palej, ostatni watażka, marzył o niepodległości Ukrainy na własną rękę, o księstwie ruskiem, w którem być nie miało, ani oświaty, ani szlachty, ani prawa. Z Palejem skończyło się wszystko. Jedna ukraińska Sicz została z wielkiemi wspomnieniami, ale ciemna, bez myśli politycznej i przyszłości. Nie mając co lepszego robić, nie wiedząc do czego się wziąć, bo step do Krymu rozciągający się, zaludniał się pod wpływem Moskwy, a Tatarzy już przestali napadać na Polskę i pochowali się gdzieś daleko za Perekopem, Sicz posyłała drobne oddziały swoje na łupież do prowincyj polskich. Sicz wobec Rzeczypospolitej zastąpiła Tatarów. Nie tyle straszna co tamci, rzucała częstszy postrach na kraj podolski i wołyński, bo jako bliska, mogła o każdej porze, na wiosnę i na jesień odbywać swoje wyprawy. Wyraz hajdamaka w tym czasie dopiero nabył historycznego znaczenia; wprzód może był pospolitym, odtąd stał się technicznym. Hajdamactwo rozwijało się tylko na Ukrainie w pierwszej połowie XVIII wieku.

Ostatnia ta kolonizacya Ukrainy, o jakiej już wspominaliśmy, szła z początku słabo, bo niebezpiecznie było gospodarować w sąsiedztwie z Siczą zaporożską. Ale pod koniec panowania Augusta III już kolonizacya o tyle postąpiła, że w losach tej ziemi nastąpiło zbawienne przesilenie. Ukraina zaludniała się, zabudowywała, porastała bujną cywilizacyą, patryarchalne dla niej nastawały czasy, prawdziwy złoty wiek Astrei. Grom Chmielnickiego już dawno przycichał w oddaleniu, wreszcie całkiem skonał. Kraj nowe miał zacząć życie; strasznych wysileń było potrzeba, żeby wreszcie zrozumiał dobro swoje i przylgnął z miłością do matki ojczyzny. Przed epoką buntów był tu lud jeszcze prawie, w udzielnym kraju, ruski, w dobrach ruskich kniaziów, teraz był polski, napływał z serca Rzeczypospolitej, ostatki miejscowych Ukraińców pociągał ku sobie, a chociaż po rusku mówił, miał już tchnąć sercem polskiem; na nowych siedzibach w tej chwili osiadał, kiedy i dla samej Rzeczypospolitej następowały czasy wielkiego prawodawczego przesilenia, które się skończyły dniem trzeciego maja. Lud ten, wieku nie było potrzeba, a przelałby się był w bryłę czystego złota polskiego.

Wojewoda kijowski, pan na Krystynopolu, Salezy Potocki, miał na Ukrainie obszerne pustki, z których żadnych nie pobierał dochodów. Wprowadzał do nich lud z dóbr swoich na Czerwonej Rusi, rozległe nadawał osady, obowiązków małych za to wymagał. Zbudował sobie na tej Ukrainie pałac jeden i drugi, sam przyjeżdżał doglądać kolonizacyi, oficyalistów swoich na mieszkanie do Ukrainy posyłał. Wtenczas to jako książęce mieszkanie zasłynął Tulczyn, druga stolica wojewody po Krystynopolu. Za przykładem możnego pana poszli inni senatorowie; potem napłynęła szlachta. I ona na Ukrainie krzątała się, aby zaludnić stepy. Powstawały gęsto wioski. Ruch udzielił się mieszkańcom prowincyj sąsiednich. Zaczęła się więc ze wszech stron kupić, do ziemi mlekiem i miodem płynącej, ludność różnorodna, nawet z za Dniepru, bo u nas było swobodniej niż pod Moskwą, z Serbii, Multan, z Wołynia, od stepów i od Krymu. Mozajka dziwna wiar, wychowania, języków, obyczajów. Tej różnorodnej ludności zjawia się duchowny dobrodziej ks. Kostecki, Bazylianin, a więc unita. Mąż to był niespracowany w Kijowskiem i Bracławskiem, apostoł w całem znaczeniu tego wyrazu. Łagodny i mądry, rzucał garściami w tę ludność. Bywało tam, że mężowie miewali po kilka żon i odwrotnie, żony po kilku mężów; bywało, że mężowie żony swoje sprzedawali za towar; złodziejstwa i zabójstwa zdarzały się co dzień, co nic dziwnego, bo w sąsiedztwie Siczy, Hajdamaczyzny. Lud był w niektórych okolicach ciemny, bez pierwszych pojęć o życiu spółecznem. Ksiądz Kostecki, lud ten ciemny zrobił chrześciańskim, tępił w nim nienawiść do żydów, wskazywał na braterstwo obrządków: ruskiego z łacińskim. Starał się razem ks. Kostecki i duchowieństwo ciemne tego ludu naprawić, władzę metropolity unickiego ustalić wśród Ukrainy. Trafił aż do Rzymu. Zjechał więc zesłany na wizytatora apostolskiego ks. Ryłło, biskup chełmski. Rok cały bawił on na Ukrainie i podniósł tam naukę i obyczaje, wstrzemięźliwość po wsiach zaprowadzał. Włościanie znosili do niego oszczędności swoje dla tego, żeby upiększał cerkwie i wspierał ubogich. Biskup odbywał i misye na Ukrainę, rozdawał krzyżyki i różańce z odpustami rzymskiemi. Codzień bywały po dwa razy kazania na misyach, rano i wieczór; lud się tłumił wszędzie gromadami po śladach władyki. Na wielki jubileusz zjechali i OO. Kapucyni; braterstwo obrządków wykazało się w całym blasku; lud brał oświatę katolicką od ruskich i łacińskich księży. W Humaniu dziedzic, wojewoda kijowski, założył szkoły, które się wkrótce ustaliły pod dozorem Bazylianów, zacnych Rusinów, kochających ojczyznę, Polskę. Niedawno jeszcze, a Humań był ogniskiem życia kozackiego, a nawet na krótki czas za Haneńki stolicą hetmańszczyzny; teraz się spolszczył, wystąpił w dziejach jako jedno z ognisk cywilizacyi polskiej. Ukraina odżyła i zakwitła pomyślnością.

(C. d. n.)

O twórczości poetyckiej

przez

Juliana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy).

Z późniejszych wpływów najwięcej treści dostarczają poetom książki przeczytane. One to wprowadzają młodzieńca w tę atmosferę duchową, której poeta czy chce czy nie chce, musi być wyrazem, zarówno w uległości jak w opozycyi. Mierne talenta pod ich wpływem stają się wprost naśladowcami — wyższe zbogacają tylko treść własnej fantazyi. Ale myliłby się, ktoby sądził, że geniusz przynajmniej wolnym jest od naśladownictwa, a nawet od prostych plagiatów. Ludzie, których my dziś uważamy za jednostki wyjątkowe, za życia nie przedstawiali się tak odrębnie, mieli oni cały orszak współczesnych talentów, kosztem których wyrośli i z któremi nieraz bardzo wiele mieliby rachunków. Tylko że my o tamtych zapominamy, a tych po nad tło powszednie wynosimy. Dowody naśladownictwa, znaleść można w każdej historyi literatury, zestawiającej prace poetów. Ale dla nas najciekawsze są te drobne a mimowolne plagiaty i przeróbki, które poeta popełniać musi — w zdaniach, porównaniach i zwrotach, a które oczywiście tem mniej są widoczne, im większy talent mamy przed sobą. U poetów pierwszorzędnych nie rażą one tak, jak u autorów średnich zdolności.

Weźmy przykłady: Znaną jest z podania historycznego odpowiedź Spartan, gdy im Persowie grozili zakryciem słońca chmurą strzał: „Tem lepiej, będziemy walczyli w cieniu!“ Wspomnienie to widocznie podsunęło się pod myśli Słowackiemu, gdy nicując ten zwrot, pisze w *Lilli Wenedzie*: „Mówią, że walka będzie oświecona błyskawicami.“ „Dobrze, będzie widno.“

Najczęściej poeta czuje w pamięci tylko rytm i konstrukcyą deklamacyjną wiersza, a popęd twórczy obudza w nim rysy sprzeczne — na tej samej kanwie. Oto przykład:

O wy nizcy, o wy ciemni
I okrutni i nikczemni!
Wy przewiędłe w nicość dusze,
Bez ducha Faryzeusze!
i t. d. (Krasiński.)

O wy maluczcy, o wy drobni
I powołani i sposobni
Do tej ogromnej, wiecznej sprawy,
Która tu nie dla marnej sławy,
Lecz dla długości prawd łańcucha,
Przez ducha dzieje się dla ducha.
(Ujejski.)

U talentów średnich spotykamy częściej już nietylko reminiscencye rytmu i formy, ale wprost całych zwrotów n. p.:

Sto lat mijało, jak zakon krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził.
(Mickiewicz.)

Tysiąc wieków mijało, jak człowieka plemię
Co dzień świeżemi trupy zasilało ziemię.
(Żmichowska.)

albo:

Świat ten cmentarzem z łez, ze krwi i błota —
Świat ten jest wieczna każdemu Golgota.
(Krasiński.)

...Co w oczach jego tak piękna, bo złota
A w oczach bożych garść łez, krwi i błota!
(Żmichowska.)

Często wreszcie poeta mimowolnie sam siebie naśladuje powtarzając własne zwroty, te mianowicie, których siłę lub wdzięk czuł mocniej niż innych, a trafia się to głównie w utworach zbliżonych do siebie czasem powstania. Np. u Słowackiego:

„Ach, ona była domu mego panią,
Ona, jak jaśni anieli obrońce... itd.
(Ojciec Zadżumionych.)

„Ach, ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią... itd.
(W Szwajcaryi.)

Szekspir, wielki Szekspir, zapożyczał się wszędzie gdzie tylko mógł, co prawda, umiał on dobrze użyć tych kapitałów! „Suma jego pożyczek poetyckich (mówi Emerson), daje się wyciągnąć z pracowitych obliczeń Malona, nad 1, 2 i 3ą częścią Henryka VI dokonanych. Wypada z nich, iż na 6.043 wierszy, jest 1771 napisanych przez pisarza poprzedzającego Szekspira, 2373 skreślonych na tle poprzedników, a tylko 1899

wierszy należy doń jako własność osobista*)." Co do pomysłów to olbrzymia ich część należy do tradycyi, nie zaś do samego poety. A dodajmy do tego wpływy niedrukowanych, lecz od przyjaciół i znajomych pochodzących zwrotów, myśli i ich kombinacyj, których dziś sprawdzić niepodobna.

Ale kto zna psychologiczne prawa rządzące fantazyą ludzką — ten się tak głębokiej i ścisłej zależności od otoczenia dziwić nie będzie. Fantazya nie może stworzyć ani nowego tonu, ani nowej barwy, ani żadnego istotnie nowego wyobrażenia, ona może tylko kombinować te, które z zewnątrz odbiera, tworzyć z nich nowe zestawienia, przeplatać nowsze dawniejszemi, osobiste cudzemi i właśnie w tej przeróbce artystycznej, w tym mozajkowym, harmonijnym układzie leży siła geniuszu. Talent mierny naśladuje tylko geniusz, przetwarza i przeobraża — ale żaden z nich nie stwarza. Wielcy poeci są wielkiemi nie dla tego, żeby mieli wyrywać się i uchylać z pod wpływów otoczenia, epoki, lecz dla tego, że właśnie najlepiej umieli ten wpływ ześrodkować, tę treść przyswoić sobie i przetworzyć artystycznie, że umieli wypowiedzieć to, co miliony miały na ustach, dać wyrazistą formę temu, co ludziom w głowach majaczyło i niejasno budziło się w sercach.

„Artysta — mówi Henryk Taine — uważany wraz ze wszystkiemi dziełami jakie stworzył, czyli, że tak powiemy z całem swem dziełem, nie jest odosobniony. Istnieje także pewna całość, którą on jest objęty, całość większa niż on sam; całością tą jest szkoła lub rodzina, grupa artystów tego samego kraju i tej samej epoki, do której on należy. Naprzykład, w około Szekspira, który na pierwszy rzut oka wydaje się cudem spadłym z nieba, aerolitem przybyłym z innego świata, znajdujemy kilkunastu utalentowanych dramaturgów: jak Webster, Ford, Massinger, Marlowe, Ben Jonson, Flechter i Baumont — którzy pisali w tym samym stylu i w tym samym duchu co on. Ich sztuki mają też same charakterystyczne cechy, znajdujemy u nich też same postacie gwałtowne i straszne, te same rozwiązania krwawe i nieprzewidziane, te same gwałtowne i niepohamowane namiętności, ten sam styl dziwaczny, niezwykły a świetny, to samo wyborne i pełne poezyi poczucie i oddanie wsi i krajobrazu, te same typy kobiet żywo czujących i kochających głęboko**)."

Dzieło wielkiego poety jest właściwie dziełem epoki — wypadkową bardzo wielu wpływów i zewnętrznej i wewnętrznej natury. Lecz trzeba przyznać, że te ostatnie o wiele są silniejsze. Poeta, któryby wszystko czerpał z zewnątrz, nie mógłby być twórcą pierwszorzędnym — jeżeli więc powiadamy, że geniusze nawet wiele zawdzięczają otoczeniu i oczytaniu, to jednak nie myślimy zapominać o tem, że tłem dla tej treści obcej, gruntem, na który ona pada, jest i być musi — własne życie.

Serce, co jako zegar jednakowo wciąż drgało,
Będzie znaki, nie będzie życia wskazywało.

---

*) Emerson. Przedstawiciele ludzkości, tłómaczył Józef Siellawa. Warszawa 1871, str. 164. Winienem jednak dodać, że Henryk VI jest najmniej oryginalnem z dzieł Szekspira; — w innych stosunek wypadłby nierównie korzystniej dla autora.

**) H. Taine. Filozofia sztuk pięknych, przekład I. z K. S. Warszawa, 1868, str. 2.

Musi więc poeta, żyć pełną piersią, doświadczać doli i niedoli „sny błogie opłacać życiem przepłakanem" — „Jak Dant za życia przechodzić przez piekło." — Brodziński słusznie mówi:

Człowiek jest dla poety najpierwsza nauka;
Nie zna go, kto po księgach, po dworach go szuka.

Trzeba samemu doświadczać, ażeby słowem w drugich podobne uczucia rozbudzić. Trzeba doświadczać jak poeta — a jak psycholog rozumieć, — prawda, że często to rozumienie praw duszy ludzkiej jest raczej instynktowem, bezwiednem, ale jest i być musi.

Weźmy np. tak pospolite uczucie jak smutku — ileż niedołężnych wierszydeł nasklejano na ten temat! Autor narzeka na świat i na ludzi, widzi „czarną otchłań" we własnem sercu, chce nas gwałtem rozczulić, a najczęściej śmiech tylko wzbudza tkanką kradzionych frazesów, okropnie mdłych wykrzykników i strasznie ckliwych jęczeń. A tymczasem jeśli przeczytamy skromny wierszyk Gabryelli: „Czemu mi smutno?" — mimowoli westchnąć musimy, smutek sam ciśnie się do duszy. Dla czego? Bo tu jest prawda uczucia, bo tu każdy wiersz przynosi nowy motyw prawdziwy, psychologiczny, i z nich składa się misterna wiązka wrażeń, które muszą wywołać to, czego są składnikami: uczucie smutku. To nie tylko poezya, to traktacik psychologiczny, któremu brak tylko rozumowań, w którym wyrazy streszczają prawa, a myśl obywa się bez wniosków — bo je sam czytelnik odczuwa:

Czemu mi smutno? pyta autorka i szuka odpowiedzi chociaż jej nie daje, szuka jej w wietrze jesiennym, który lasy i pola odarł z zieleni,

I tam wysoko, po niebie nademną
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,

szuka jej w tych zwiędłych liściach, które tuman z drzew obrywa i pędzi, jakby duszę człowieka przez los zawistny zgnębioną, pędzi po szlakach nieznanych

aż padnie smutna i daleka
Gdy wiatr ucieknie lub jej zbraknie siły
Nad brzegiem jakiejś tam obcej mogiły.

Szuka jej w braku przyjaznej dłoni, w tem, że żaden głos bratni co słychać? nie pyta;

I że tak wszyscy w różne chodzą strony
Każdy ku swojej gwieździe obrócony,
Każdy niedbały, co na drodze jego
Przepaść, czy kamień, czy serce bliźniego,
Czołga się podle, lub zuchwale leci,
Byle tam stanął, gdzie ta gwiazda świeci,
Co w oczach jego tak piękna, bo złota,
A w oczach bożych garść łez, krwi i błota.

I tak przebiega poetka różne dziedziny wrażeń, przytacza myśli, a czyni to w ten sposób naturalny, prawdziwy i prosty, że w duszy słuchacza oddźwięk znaleść musi.

Albo, czy jest coś wspanialszego jak ów Hymn Słowackiego, w którym tak mało sztuki, a tak wiele prawdy.

W pierwszej strofce poeta szkicuje ogólny charakter tego stanu wewnętrznego, który nazywamy smutkiem, charakter wyrażający się w tem, że nam najpiękniejsze rzeczy obojętnieją:

Choć mi Ty niebo tak złocisz i morze
Smutno mi Boże!

Następują obrazki szczegółowe, z których każdy jest odbiciem psychologicznego motywu. I tak:

Strofa 2: Znużenie życiem wyradza jednostajny wyraz twarzy i tylko w głębi serca pozwala jeszcze odkryć żywsze uczucie.

Strofa 3: Dziecko wie, że matka tylko na chwilę je opuszcza, a jednak płacze, bo ono całe swoje życie zespoliło z wrażeniami, od niej pochodzącemi.

Strofa 4: Wrażenia niespodziane, zwłaszcza gdy wiążą się ze wspomnieniami chwil przyjemnych z dziedziny obcej temu, co nas w danej chwili otacza, działają na nas silniej niż wszystkie inne.

Strofa 5 i 6: Człowiek znużony życiem, samotny a uczuciowy, czuje zawsze potrzebę przytulenia się do czyjejś piersi i nawet o mogile mówi tak jak o kochance. Próżność człowieka, który nie doznaje za życia należnego mu uznania, żąda chwały przynajmniej po śmierci.

Strofa 7: Nic tak nie przygnębia jak poczucie tej niemocy, która wynika z porównania gorących pragnień z nieubłaganą przyczynowością zewnętrznego świata.

Strofa 8: Smutek powstaje wreszcie i z tej myśli, że wszystko przejść musi, że pokolenia mijają po pokoleniach i że jednostka niczem jest wobec tej olbrzymiej metamorfozy.

Zobaczmy teraz w jaki sposób te motywy są obrobione. Weźmy np. strofę czwartą i siódmą; język w nich prawie potocznego opowiadania, zadziwiający swą prostotą, gdy rozważymy silne wrażenie jakie wywołuje:

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi Boże!

Tu wdzięk stanowi wyłącznie motyw psychologiczny, obrazowo a zarazem treściwie wypowiedziany. Prostota ta jeszcze widoczniejszą jest w siódmej strofie:

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień; a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie
Płynąc po świecie...
Więc — że modlitwa dziecka nic nie może...
Smutno mi Boże!

To nie strofki - to okruchy życia, żywcem z duszy wyrwane.

(C. d. n.)

Ze świata muzycznego.

Lohengrin na scenie lwowskiej.

II.

(Dokończenie).

A teraz, w uzupełnieniu tego co już poprzednio powiedzieliśmy o muzyce Wagnera i o *Lohengrinie* w ogólności, wypada nam podnieść z osobna niektóre szczególniejsze piękności tej wspaniałej opery. Do tych zaś należą, w akcie Iszym: Introdukcya, quasi uwertura, w której niezmiernie delikatnych a wzniosłych tonach słyszymy jak gdyby opowieść całej owej mitycznej legendy o Rycerzu z Łabędziem; Marzenie i Modlitwę Elsy; śpiew Lohengrina do Łabędzia i pierwszy kwintet z chórem. W akcie IIgim: wielka scena dramatyczna Frydryka z Ortrudą,

*

podczas której bądź prowadzienie przez orkiestrę wespół z głosami wypowiadanych myśli, bądź tylko akcentowanie ich przez nią wzbudza istotne podziwienie; dalej nadzwyczajnie piękny podwójny chór („Zaledwie dzionka błysnął świt“), a potem wielka scena z chórami przed kościołem, która się kończy wprowadzeniem Lohengrina i Elsy przed ołtarz ślubów. Akt III rozpoczyna Preludyum i Introdukcya, które zyskały poklask uniwersalny i są liczone do najdoskonalszych utworów t. z. *style sublime*. Instrumenta wiolinowe dźwięczą żywemi trioletami jak gdyby deszcz złoty, a śpiew, powierzony puzonom, olśniewa swą uroczystością, swym majestatem. Większej potęgi pomyśleć niepodobna: zdaje się, że ziemia, że świat cały zagrzmiał hymnem radości. To też nie ma nawet orkiestrowej siły, któraby mogła tu być za wielką, bo i sam śpiew ten potężny, bo ucho słuchacza gromów się prawie domaga. I oto dla czego powszechnie znajdują, że orkiestra nasza tutaj wychodzi za słabo. Tuż potem wychodzi inna z świetnych pereł sztuki i również uwielbiona w całym muzykalnym świecie. Jest to uroczyste wprowadzenie Lohengrina i Elsy do małżeńskiej komnaty, czyli jak je zowią powszechnie Marsz Ślubny, na orkiestrę i chóry (Szkoda, że u nas nie dają właściwego pochodu, który tę scenę o wiele podnosi; wszak garderoba na sza na to by wystarczyła! Ale mniejsza). Nic piękniejszego nad ten kontrast: tam w Introdukcyi, majestatyczna potęga radości, która nam zwiastuje boski związek męstwa z niewinnością i wdziękiem, tu zaś anielska łagodność, rozmarzona ale też i dyskretna rozkosz. Tam to wielkie, uroczyste — to zaś niewymownie urocze. Któż wreszcie nie zna tego cudnego śpiewu? Na nieszczęście chóry (szczególniej kobiece) i orkiestra prowadzą go trochę za szybko i za silnie. Co zaś do sceny miłosnej kończącej się prawie obłąkaniem Elsy i Lohengrina rozpaczą, tej trzeba słuchać i słuchać a coraz większe skarby w niej nam się odkryją.

Dyrektor muzyki p. Jarecki, przez swą wielką pracę, jakiej go studya Lohengrina kosztowały, oraz Dyrekcya teatru za swój wybór i wielkie koszta, jakie z tego powodu zaryzykowała, zasłużyli na prawdziwą wdzięczność publiczności. Życzymy operze naszej w jej wycieczce na prowincyę jak najlepszego powodzenia i rychłego do nas powrotu.

Listy z Anglii.

Sygurda Wiśniowskiego.

Londyn 9. maja 1877.

Nie o tyle zbliżeni do pożaru jak wy, nie czując tak dotkliwie woni pożogi i krwi, huku dział i jęków: *morituri te salutant*, nie możemy jednak używać karnawału, czyli „sezonu“ londyńskiego, z werwą lat pokojowych. Pomimo że — rzecz rzadka w Anglii — maj tegoroczny ustroił się w błękit i oddycha zefirami, wszystko tu wygląda posępnie i złowrogo.

Sessya parlamentu ożywiła już stolicę, gdyż posiedzenia tego prototypu bladych kontynentalnych kopii, owych sejmów, reichsrath'ów i reichstag'ów przedrzeźniających formy, lecz pozbawionych wszechwładztwa izb angielskich, oddziaływa na wszystkie stosunki londyńskie. Mamy wszystko, co o tej porze uprzyjemnia życie w stolicy angielskiej; aby używać tych przyjemności brakuje nam spokoju umysłu Pałace i kluby West End'u zapełniły się arystokracyą trzech królestw. Na Rotten Row, w Hyde parku, snują się każdego popołudnia procesye najpyszniejszych ekwipażów, najżwawszych rumaków, najbogatszych strojów i najpiękniejszych kobiet na kuli ziemskiej. Kędy się obrócę, widzę afisze zapraszające na wystawy sztuk pięknych. Oprócz narodowej wystawy w królewskiej akademii malarstwa, mógłbym wyliczyć kilka innych. Jednę z nich, w pałacu Grosvenor, urządzono z przepychem niewidzianym dotąd. Inna, zakończona licytacyą ogromnego zbioru obrazów barona Granta — Stroussberga angielskiego — dowiodła, że złe czasy dotknęły nawet amatorów dzieł sztuki, gdyż sprzedano ją za dwie trzecie ceny pierwotnej. Mamy tu Schliemann'a, na którego sypią się dyplomy honorowe wszystkich naukowych towarzystw. On korzysta z każdej ceremonii tego rodzaju, aby zapewnić Anglików, że w istocie wygrzebał kolczyki Heleny i maskę Agamemnona. Rubinstein daje szereg koncertów. Otwarto odrestaurowany pałac kryształowy w północnej części Londynu, znany dawniej jako *Alexandra Palace*. Zanim spłonął, rywalizował on z pałacem w Sydenham. Podobnego losu doczekał się teatr królowej przy Haymarket, który także dźwignięto z ruin po ostatnim pożarze. Urządzono z przepychem rzadkim w teatrach londyńskich i ożywiono operę włoską. Najznakomitsze wyścigi angielskie odbywają się z rzędu w bieżącym miesiącu, a francuski koń Chamaut, hrabiego Lagrange, wziął 2000 gwinei w Newmarket i zapewnie weźmie Derby, co nie mało krwi zepsuje Anglikom. Znów usłyszymy wołania, żeby wykluczyć konie kontynentalne z aren angielskich. Gladstone wciąż pisze do magazynów, czyniąc się coraz śmieszniejszym przedstawicielem doktrynerstwa. Wagner zaszczycił wreszcie Londyn swojemi *Bühnenfeste*, i napełnia hallę Alberta muzyką przyszłości. Maestro niemiecki podobno pęka ze złości, albowiem na pierwszem przedstawieniu ujrzał mnóstwo pustych krzeseł; sądząc z powierzchowności Niemcy, zapełniali większą część miejsc zajętych, i ci przyjmowali go z zapałem; wiele jednak osób wyszło podczas Rheingold'a a krytyka angielska wyraża się o mistrzu i jego arcydziele bardzo niechętnie, pytając po co przyjechał pomiędzy barbarzyńców. Krytycy angielscy czują urazę do Wagnera, gdyż lat temu 20 przypisywał ich niechęć ku sobie pobudkom pieniężnym.

Mógłbym wyliczyć o wiele dłuższą litanię nadzwyczajności, któremi „sezon“ szafuje tak hojnie. Jednakże obfitość ta nie zaciera z pamięci kłopotów. Ludzie nie bawią się jak zwykle. Pomimo że potop powieści i nowych dzieł wszelkiego rodzaju zalewa jak dawniej półki księgarzy, czytelnicy, miesięczniki i tygodniki nie zwracają na nie uwagi. Pisma peryodyczne zapełniają swoje stronice rozprawami politycznemi, publiczność rozchwytuje dzieła traktujące o Rossyi i Wschodzie. W przeciągu ostatnich kilku miesięcy można było zebrać bibliotekę z takich wydawnictw. Wyborne dzieło Wallace'a o Rossyi, oraz malowniczy opis wycieczki Burnaby'ego do Kiwy, spotykam w każdym domu prawie. Pierwsze, owoc sześcioletnich naocznych badań, maluje wiernie wszystkie warstwy rosyjskiego społeczeństwa, wszystkie jego światła i cienie, gdyż p. Wallace miał czas, pieniądze i talent ku zebraniu materyałów. Ale prace podróżników i literatów zaćmiła skromna *blue-book* (niebieska księga) parlamentarna, wydana z rozkazu rządu. Broszurkę tę, sławną w Europie, rozchwytano w kilku dniach; przeszłego tygodnia znalazłem u Hansard'a, przy Great Queen street — jej wydawcy i jedynego księgarza, u którego ją sprzedawano — zaledwie kilka egzemplarzy tej skromnie wyglądającej książeczki, pomimo, że odbito ją w kilkunastu tysiącach egzemplarzy. Żadnej niebieskiej księgi nie odbijają w drugiem wydaniu. Po wyczerpaniu pierwszej edycyi, stanie się to dziełko rzadkością bibliograficzną. Dla nas posiada ono podwójną wartość, więc śmiem zapytać, czy przełożono je na język polski, a co więcej, na rusiński? Mieści ono na dwudziestu stronicach, raporta jenerała Mansfield'a, byłego konsula w Warszawie i sprawozdanie skromnego wicekonsula w Odessie. Otóż ten pan Mansfield okazał się nietylko bystrym widzem i bezstronnym świadkiem, lecz gentleman'em, z taktem i sercem. Krótkie, pełne prostoty depesze dyplomatyczne, wypływały z pod jego pióra w postaci protestów przeciw gwałtom i zbrodniom. Raport wicekonsula, nazwę arcydziełem na jednej stronnicy. W kilku, krótkich zdaniach odprawia on tony bredni o narodowości unitów i powstaniu tej formy katolicyzmu. Stronnica ta, wywołała rewolucyą w poglądach angielskich. Nie wiadomo wam zapewnie, że w tym kraju usiłowano oddawna przedstawić kościół grecki, jako sprzymierzeńca i brata Anglikanizmu. Wychodząc z zasady, że wspólna nienawiść Rzymu zbliża państwową religię tutejszą z ukazową religią w Rossyi, nie znając tej ostatniej, nie pojmując jak mało ona dba o ducha chrześcianizmu, o ile zadowalnia się formami i ikonochwalstwem któreby tu wyśmiano lub uważano za objaw bałwochwalstwa; bez względu na to wszystko, marzyła część anglikańskich teologów o unii z kościołem wschodnim. Nawet odbywali konferencye w tym celu z popami rosyjskimi. Szalona ta myśl stworzyła najniedorzeczniejszą propagandę na korzyść Rossyi i stawiała unitów w fałszywem świetle. Sądząc z artykułów w ostatnich teologicznych pismach angielskich, pokazuje się, że raporta pana Mansfield'a przyczyniły się lepiej do wyleczenia tej choroby, nad tomy teologiczne. Pytam więc raz jeszcze, czy dziełko, które przysłużyło się ludzkości i nam, wetknięto w rękę każdej osoby, co potrzebuje takiego lekarstwa?

Od czasu wydobycia tej książeczki z tajemnic dyplomatycznych archiwów, nie upływa dzień bez wzmianki drukowanej o naszych stosunkach. Irlandzki kardynał Cullen odezwał się do wszystkich katolików, przypominając im, że kraj „który przed wiekiem jeszcze był główną i jedyną tamą islamizmu, dziś przedstawia widownię nieopisanego barbarzyństwa.“ Co lud londyński myśli o nas, pokaże się w przyszłą sobotę. Na ten dzień zapowiedziano mityng pod otwartem niebem, z hasłem: „precz z Rossyą, niech żyją Polacy!“ Gdy bieda, to do żyda; nie przywiązuję więc wagi do rezultatów tego wiecu, oprócz tej, że przyczyni się do zapoznania Anglików z rzetelnemi naszemi cierpieniami. Nic tak boleśnie nie razi Polaka żyjącego śród ludu tutejszego, jak zupełna nieznajomość naszych stosunków i brak chęci, aby nas poznać. Spotykałem wykształconych Anglików, którzy wyobrażają sobie wszystkich Polaków jako najzacofańszych i najzaciętszych ultramontanów, ślepo oddanych Watykanowi, lecz komunistów zarazem, gotowych z czystego zamiłowania w bójkach i kon-

dotierre przyłączyć się do każdego rozruchu, bez względu na hasło i cele. Wiem niestety, co stworzyło w ich głowach tak potworny obraz polskości — wszak właśnie dwa owe żywioły, złączone przez nich w całość, zawsze i wszędzie zjawiają się na pierwszym planie, spierając się wobec cudzoziemców o prawo reprezentowania narodu. Ultramontanizm polski i polska latorośl internacyonału nie zasypiają gruszek w popiele nawet w Londynie, lecz ludzie rozsądni pilnują swoich interesów i milczą. Co Anglicy o nas sądzą, dowiedzie następujące zdarzenie. Przed kilkoma dniami popierały wszystkie gazety angielskie nieprzychylne Rossyi projekt owego legionu polskiego, który tworzą obecnie w Stambule. Wszechwiedząca *Daily Telegraph* i ministeryalny *Standard* zachęcały do stworzenia legionu pięciotysiącznego. Wszak ten legion będzie wydobywał gorące kasztany dla Anglików i Turków kosztem krwi polskiej, aby po wojnie dostarczyć emigrantów do Australii, lub kolonistów do Małej Azyi, na wzór kozaków sułtańskich na żołdzie królowej angielskiej z r. 1856! Słusznie więc popiera *Telegraph* i *Standard* rzecz tak korzystną dla swojego kraju. Jednak, mniejsza o korzyści. Chodzi mi o objaśnienie wam, jak Anglicy pojmują nasz patryotyzm. *Daily Telegraph* zaproponował na seryo, inne pisma zaś powtórzyły radę, żeby sztandary tego legionu poświęcić w Rzymie, na jego czele postawić kapłanów i zachęcić Polaków do katolicko-muzułmańskiej krucyaty przeciw schyzmie. Myśl wcale oryginalna. Niestety, do wspomnianego legionu dążą ztąd niedobitki komuny paryskiej! Chorągwie poświęcone w Watykanie i szeregi zwolenników internacyonału licowałyby wybornie, wedle zdania pism angielskich, ze składem tej armii.

Odezwa kardynała Cullen przypomina mi inną, w formie listu starego niedołęgi, Tomasza Carlyle, do *Times'a*. Jeszcze nie zdarzyło się żadne łotrostwo w ostatnich latach, żeby Tomasz Carlyle nie napisał jego apologii w formie listu do *Times'a*. Na kształt Gladstone'a sfiksował on na punkcie pisania listów. Gladstone zabił się w opinii narodu temi niedorzecznemi odezwami, Carlyle nie mógł nic postradać, gdyż od dawna wiedzą Anglicy, że pomimo głębokiej nauki ma bzika. Ostatni jego list umieszczony w *Times'ie* z 7go bm. prześciga cynizmem doborem grubiańskich wyrazów, zestawieniem najniegodziwszych komunałów, wszystko cokolwiek Tomasz Carlyle napisał w tym rodzaju. Jest to oda na cześć brutalstwa. Geniusz autora, przebijający się z każdego zdania, czyni ją tem ohydniejszą. Mefistofeles nie mógłby wyrazić trafniej swoich bluźnierstw. Wspominam o tym liście, gdyż niedawno spotkałem w jednem z najpoważniejszych pism warszawskich nie życiorys już i rozbiór dzieł filozofa z Chelsea, lecz panegiryk męża, oraz bezwzględną pochwałę jego dzieł jadowitych. Wiem, że artykuł ten był plagiatem z pewnego miesięcznika angielskiego. Żaden Polak, co przeczytał chociażby historyą Fryderyka Wielkiego przez Carlyle'a, nie mógłby napisać oryginalnie tego artykułu, nie mógłby unosić się nad pisarzem, który poświęcił zasoby stylu i wiedzy na krucyatę przeciw wszystkiemu, co większość ludzkości nazywa moralnem i szlachetnem. Zaiste, dziwnie wygląda panegiryk polski, wydrukowany na cześć panegirysty Frydryka i Bismarka, wielbiciela polityki niemieckiej i rossyjskiej. Na szczęście, przesadne jego bałwochwalstwo zawiera w sobie antydot przeciw własnemu jadowi. Anglia podziwia Carlyle'a, ale nie słucha jego bechtań. Autor wspomnionej biografii, nie wie o tem jednak. On zapewnie nigdy nawet nie czytał ustępu, w którym Carlyle nazwał kradzieże i szalbierstwa dyplomatyczne, rozbój wojenny, fałszerstwo pieniędzy, słowem całą działalność Fryderyka „*spiralnym* polotem do świetnej wyżyny sławy i potęgi, którą bohater ten wytknął sobie za cel żywota?“ Wiem, że go nie czytał; wątpię nawet, czy kiedykolwiek widział na oczy dzieła Carlyle'a, czy rozumie dla czego pewna część Anglików bije czołem przed tym apostołem zasady *la force prime le droit*, większość zaś potępiła go, jako pisarza bez serca, umiarkowania i sumienia. Ktokolwiek skradł ów artykuł o Carlyle'u i spolszczył go, powinienby także przełożyć list z *Times'a*, który zasyczał na kształt struny targowickiej w polonezie Jankela, gdy cała Anglia wołała o sąd na wiekowych zbrodniarzy.

Od kiedy przeczytałem ów plagiat, kipiała żółć moja i nawiązałem węzełek na bezimiennego autora — wybaczcie, że skorzystałem ze sposobności, i zwróciłem uwagę waszą na niego. Kradną u nas wiele; przynajmniej powinniby w źródłach przybierać. Zresztą, jeżeli się nie mylę, toż samo pismo zarzuciło Sewerowi plagiat komedyi angielskiej. Otóż dziwnym zbiegiem okoliczności, tłumaczą też komedyą na język angielski i zapewnie przedstawią ją w Londynie, gdzie w istocie lepiej będzie licowała z otoczeniem, niż na scenie polskiej. Pomijając, że przekład ten windykuje Sewera, nie wypadało pismu oskarżającemu go bez podstawy i dowodów, skraść i wydrukować artykuł niegodziwy, mącący pojęcia Polaków o rzeczywistej tendencyi dzieł angielskiego Mefistofelesa. Mówiąc o geniuszu i zasługach Carlyle'a, wypadało dodać, jak używa talentu i komu się zasłużył. (Dok. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XVI.

W obecnej porze wojennej, jedne tylko telegramy zajmują nasze miasteczko — zresztą cisza i zastój. Wystawa jednak rośnie wcale pokaźnie, a niektóre jej działy, sądząc po gorliwej czynności członków, bardzo pięknie się przedstawią. Między innemi w ostatnich czasach odbyły się posiedzenia oddziałów Towarzystwa gospodarczego w Samborze, Gródku i Rawie, na których uchwalono wszelkiemi siłami popierać wystawę produktów rolniczych i drobnego przemysłu, oraz wyznaczono odpowiednie ku temu środki. Domek frontowy z bramą — korpus główny i jeden pawilon boczny już na ukończeniu — i jest nadzieja, że po odpowiedniem przybraniu, całość bardzo wdzięczny przedstawi widok.

Oby tylko i pp. wystawcy nie zniechęcili się groźnemi echami wojny!

* * *

W ostatnich dniach niepokojące wieści zaczęły dochodzić i z głębi naszego kraju. Mówiono, że w Buczackiem i Kołomyjskiem przygotowuje się rzeź szlachty i że obywatele ziemscy barykadują swoje dwory. Bliższe wiadomości pokazały, że podburzania ajentów moskiewskich istotnie miały miejsce, lecz zdaje się, że aresztowanie kilku podżegaczy i ajentów, a także pewnej liczby podejrzanych włościan, położy koniec tym obawom. Śledztwo prowadzi się gorliwie, a dzienniki proszone są o nierozgłaszanie bliższych szczegółów, ażeby nie paraliżować działania sądowego i nie uprzedzać winnych. Wieści o ruchach socyalistycznych w Krakowie również okazały się przesadzonemi.

* * *

Wiosenne słońce, które nareszcie zaczęło dogrzewać, wyciąga tłumy Lwowian do miejsc ulubionej przechadzki — a na dzień dzisiejszy wybiera się nadto wiele osób pociągiem spacerowym do tunelu łupkowskiego nad granicą węgierską. Wyjeżdżający ze Lwowa mogą powrócić na godz. 10 rano w poniedziałek, a ceny są bardzo przystępne, bo w obu klasach nie przenoszą kilku reńskich. Zaczynamy też już myśleć o dłuższych letnich wycieczkach do miejsc zdrojowych, przyczem należałoby przynajmniej w tych ciężkich czasach dać pokój wodom zagranicznym a natomiast liczniej odwiedzać nasze zdrojowiska, które w ten tylko sposób będą mogły podnieść ulepszenia do wysokości wybredniejszych potrzeb i wygód, chorych i zdrowych swych gości.

* * *

Od czasu wyjazdu opery teatr dał nam już kilka sztuk poważnych. We wtorek na benefis pani Aszpergerowej przedstawiono „Hamleta,“ który był świetnym tryumfem dla p. Ładnowskiego i zjednał mu wyjątkowo gorące oklaski. Winniśmy też dodać, że pani Ładnowska w roli Ofelii ogromne okazała postępy i coraz więcej wkrada się w serce publiczności. We środę powtórzono piękny dramat Newskiego i Dumasa „Daniszewy,“ który idealizmem swoim tak jaskrawo odbija od innych robót sławnego obrońcy upadłych kobiet. Oklaski zbierały panie Aszpergerowa i Woleńska, oraz p. Ładnowski, który idealną postać *mużyka* otoczył urokiem prawdziwej poezyi. Nareszcie w piątek publiczność okazywała swe uznanie sympatycznemu artyście p. Woleńskiemu, który jako benefisant grał główną rolę w pięknym zawsze dramacie Feuillet'a „Miłość ubogiego młodzieńca.“

* * *

We wtorek odbyło się w jednej z sal uniwersyteckich zwykłe posiedzenie Towarzystwa Przyrodników, na którem prof. Ciesielski zdał sprawę z nowszych badań nad parowaniem u roślin, wykazujących, że światło przyspiesza transpiracyą nietylko wprost działając siłą zawartych w nich promieni ciepłych, ale także i to nawet najsilniej, za pośrednictwem swych promieni najmniej ciepłych, które będąc pochłanianemi przez ziarnka zieleni (barwnika zielonego: *chlorofilu*), dopiero wewnątrz rośliny wytwarzają ciepło i potęgują parowanie. Następnie p. Dunikowski opowiedział zajmujące swe badania nad wygasłemi wulkanami w Euganeach (w północnych Włoszech), wykazując związek przyczynowy, jaki zachodzi w tych stronach między układem warstw osadowych i śladami wygasłych kraterów.

Kronika przyrodnicza i przemysłowa.

Zegary publiczne. Poruszanie ich za pomocą elektryczności i nowy sposób Mayrhofa za pomocą powietrza. — Jeszcze w kwestyi samorodztwa: doświadczenia Tyndalla. — Bezpośrednie badanie funkcyj fizyologicznych w żołądku człowieka.

Do wygód publicznych wielkich miast, należą zegary umieszczane na rogach ulic, wieżach, gmachach publicznych itp. Od dawnego już czasu głównem

staraniem urządzających te zegary, jest uregulowanie ich mechanizmu w ten sposób, żeby chodziły jednostajnie, to jest żeby w danej chwili pokazywały jednę i tę samą godzinę. Trudno by było zegary te zaopatrywać w skomplikowany mechanizm chronometrów, tak, żeby każdy zegar dla siebie chodził regularnie; wymagałoby to zbyt wielkich kosztów, to też starano się już od dawnego czasu znaleść sposoby poruszania wszystkich zegarów, z jednego miejsca, z jednej stacyi centralnej, posiadającej zegar dokładnie regulowany.

Teoretycznie odpowiadają zadaniu temu najlepiej zegary elektryczne, połączone z główną stacyą drutami, po których prąd elektryczny wysłany ze stacyi głównej przebiega z niezmierną szybkością i porusza stosownie zbudowany mechanizm zegarów odpowiednio do czasu na głównej stacyi oznaczonego. Prąd elektryczny bieży z taką szybkością, że można ruchy wszystkich zegarów uważać za synchroniczne. Ten system byłby najlepszym, gdyby zegary elektryczne były do tego stopnia udoskonalone, że nie potrzebowałyby częstej naprawy i ciągłego umiejętnego nadzoru. Tak jednak nie jest, i próby wykazały, że w obecnym stanie rzeczy zegary elektryczne potrzebują zbyt wielkiej troskliwości, a więc są za kosztowne.

Zegary publiczne miasta Wiednia, są poruszane z głównej stacyi za pomocą innej metody, zwanej pneumatyczną, wynalezionej przez inżyniera Mayrhofa. Środkiem do poruszania skazówek wszystkich do jednego systemu należących zegarów, jest tu fala zgęszczonego powietrza wysłana z głównej stacyi. Na tej stacyi znajduje się szczelnie zamknięty zbiornik powietrza, od którego cienkie rurki rozchodzą się na wszystkie strony do zegarów. Rurki te przechodzą pod ziemią i są ułożone wzdłuż rur gazowych. Skoro się w zbiorniku zgęści za pomocą machiny raptownie powietrze, to fala jego przebiega po rurkach aż do zegarów. Tam koniec rurki jest rozszerzony i zamknięty sprężystą błoną. Gdy fala powietrza uderzy o tę błonę, wydyma się ona i porusza drążek, który znowu z kolei porusza skazówkę zegara. Co minutę wysyła się taką falę z głównej stacyi i co minutę skazówka przeskakuje na cyferblacie o jedną minutową kreskę naprzód.

Mechanizm jest bardzo prosty i w zastosowaniu okazał się bardzo praktycznym. Głównym zarzutem, który temu systemowi zrobić można, jest ten, że ponieważ fala powietrzna w cieńkiej rurce bieży powolniej niż dźwięk, tj. około 1000 tylko stóp na sekundę (dźwięk około 1100), więc gdy główna stacya wskazuje pewną godzinę, to zegar oddalony o stóp tysiąc spóźnia się o sekundę, oddalony o 3000 stóp spóźnia się o 3 sekundy itd. Jednak zważywszy że wszystkie zegary rozstawione są w jednem mieście, więc że to opóźnienie się na stosunkowo niewielkiej przestrzeni najwięcej kilka sekund wynosić może, a to w życiu powszednem wcale się nie uwzględnia, przyjdziemy do przekonania, że nowy system jako najtańszy, najprostszy i najpraktyczniejszy powinien prędko znaleść obszerne zastosowanie.

* * *

Niedawnośmy wspominali o sporach między pp. Pasteurem a dr. Bastianem co do kwestyi samorództwa. Ostatni z nich utrzymywał, że w odwarze organicznym wygotowanym tak mocno, że wszystkie możliwe zarodki żyjątek sprowadzających gnicie są wygubione, mogą się wytworzyć same przez się nowe organizmy. Spór ten oddany pod sąd akademicki, nie został dotychczas rozstrzygnięty, jednak jest wszelkie prawdopodobieństwo, że sprawa dra Bastiana upadnie, i okaże się, że doświadczenia swe robił nie zupełnie dokładnie. A ile tu znaczą rozmaite drobne okoliczności, które się zwykle w rachunek nie wprowadzają, przekonają nas następujące fakta podane przez Tyndalla.

Powtarzając doświadczenia powyżej wymienione znalazł on, że niekiedy mimo wszelkich ostrożności wytwarzają się w odwarze zupełnie zabezpieczonym, organizmy sprowadzające gnicie. Dopiero po wielkiej ilości doświadczeń znalazł, iż jeśli do odwaru używał siana z r. 1876, to żyjątka się nie pokazywały, jeśli zaś brał siano z r. 1875, to rzecz się miała odwrotnie. Prawdopodobnie w starszem sianie zarodki były więcej zeschnięte i stwardniałe, więc też i więcej dawały oporu przy gotowaniu.

Takie więc małe i poboczne a przytem trudne do odkrycia warunki, mogą dać podstawę do twierdzeń o samorództwie.

* * *

Dr. Richet przedstawił niedawno paryskiej Akademii umiejętności rezultaty swych badań nad żołądkiem człowieka, który z powodu zwężenia przewodu pokarmowego nie mógł przyjmować pokarmów przez usta, więc zrobiono mu z zewnątrz sztuczny otwór w żołądku, przez który pożywienie wprowadzano. Operacya udała się wyśmienicie. Przy bliższem badaniu okazało się, że z ust ślina nie miała dostępu do żołądka, że więc i bez jej udziału trawienie mogło się odbywać. Czas przebywania pokarmów w żołądku okazał się zależnym od ich jakości; w ogóle wynosi on dla zwykłych części składowych pokarmów, skrobi, tłuszczu i mięsa od trzech do czterech godzin. Mleko przechodzi z żołądka dalej po półtora do dwóch godzin. Woda i alkohol są zupełnie zabsorbowane po 35 do 45 minutach.

Interesującym wynikiem tych badań jest także to, że głód nie pochodzi wcale od próżności w żołądku. Zwykle następuje on w 6 godzin po jedzeniu, a tymczasem już doświadczenie wykazuje, że po 4 godzinach żołądek jest zwykle próżnym.

W pierwszych 3 godzinach ilość pokarmu w żołądku jest niezmienna; później znika ona w przeciągu kwadransu. Sok żołądkowy jest jak wiadomo kwaśny; okazało się, że wino i alkohol robią go kwaśniejszym, a cukier działa odwrotnie. Pod koniec trawienia sok staje się kwaśniejszym. Uczucie głodu i pragnienia nie zależy ani od natężenia kwasu, ani od próżni w żołądku.

Oto są w streszczeniu rezultaty zajmujące, do których doszedł p. Richet.

B. Abakanowicz.

Tydzień Warszawski.

VIII.

Jeżeli niekiedy dla rozweselenia łaskawych czytelników przytaczam urywki z naszych pism humorystycznych, to tym razem, jak sądzę, będę mógł osiągnąć ten sam skutek, przytaczając dosłownie wyjątki z urzędowych telegramów „naszej walecznej armii“. I tak: naprzód wypada mi zaznaczyć, że, jak to wam już wiadomo, wojna rozpoczętą została w imię „braterstwa, wolności i sprawiedliwości“. „Setki lat, woła wzruszającym głosem Rozkaz dzienny do armii czynnej, setki lat cięży brzemię niewoli nad braćmi naszymi. Nieszczęśliwi, nie wytrzymali i powstali przeciw ciemiężcom!“ I to wszystko, J. C. W. Głównodowodzący ośmiela się pisać w Warszawie, gdzie p. Ryżow jest prezesem Cenzury!

Mniejsza jednak o to, niech sobie J. C. W. broni „buntowników“; ale dlaczego odbiera chleb pismom humorystycznym układając telegramy, które tylko w *Muszce*, w *Kuryerze Świątecznym* lub *Kolcach* mogłyby być na swojem miejscu? Tak np. w tydzień po wydaniu rozkazu przekroczenia granicy tureckiej, i w chwili, kiedy wszyscy oczekiwali wiadomości o walkach z tamtej strony Dunaju, J. C. W. donosi, że „Turcy nie przedsiębiorą nic przeciwko naszym wojskom stojącym przy brzegu, i że według *posiadanych dotychczas* wiadomości, nie usiłują nigdzie przeprawić się.“ Energia kroków zaczepnych „wielkiej armii“ jeszcze jaśniej się przedstawia w depeszach ministra wojny z nad granicy kaukazkiej: „Oddział generał-majora Loris-Melikowa, (czytamy tam między innemi,) doszedł do Tangirtu, gdzie powiodło mu się... zburzyć linie telegraficzne“. „Ośm tureckich batalionów, które wyszły z Karsu, długo *ścigane były* przez część naszej jazdy, w *skutek czego poruszenie Turków było podobne do ucieczki*.“ „Celem *podtrzymania* jazdy, która zapędziła się była *daleko i odważnie*, i zarazem dla *zwiększenia wrażenia* wywartego na przeciwniku, generał adjutant Loris-Melikow, po nabożeństwie *dziękczynnem*, wyruszyszy z 12 batalionami granadyerów, 40 działami i 5 secinami, *bez tornistrów i taboru* dotarł do Wizinkiewa“.

Jenerał Melikow łączy widocznie przyjemne z pożytecznem, bo wyruszył w pole i dla *podtrzymania* jazdy i dla tej *satysfakcyi* moralnej, że wyprawiwszy się *przed* zwycięstwem a *po* nabożeństwie dziękczynnem „bez tornistrów i taboru“ wywrze silniejsze wrażenie na nieprzyjacielu! Ale posłuchajmy dalszych losów tej homerycznej wyprawy:

„Dnia 18 (30) jazda *miała dwugodzinną kanonadę* z nieprzyjacielem“ wskutek czego zaraz nazajutrz „Jenerał-adjutant Loris-Melikow, *pozostawiwszy jazdę* (tę samą, którą miał podtrzymać) pod Wizinkiewem, *wrócił* z resztą wojsk do *dawnego obozu* pod Zajmem. Cała nasza strata wynosi (no! zgadujcie!) *jednego* zabitego i pięciu żołnierzy ranionych“.

Każdy taki telegram, kończy się zapewnieniem, że „Zdrowie naszych wojsk jest wyborne“. Oczywiście tych tylko, które *wróciły* do dawnego obozu. Dnia 9 b. m. donoszą nam w dalszym ciągu: „Wczoraj przy rekognoskowaniu na północo-zachód od Karsu *przy powrocie* było starcie silne naszej jazdy z wysłaną z Karsu konnicą turecką i 4 batalionami piechoty, które naszej konnicy powrót zastąpić *chciały*“. Mimowoli przypomina się stara anegdota: „Bartek! a co to ci tak buzia spuchła?“ — „E.. bo to mój pan rozgniewał się i *chciał* mi dać w twarz“. Bądź co bądź Turcy wywołali „silne starcie“ przez samą *chęć* zastąpienia naszym wojskom powrotu. Ale słuchajmy dalej: „Nasi odparli nieprzyjaciela za góry Bezdikczej, *ale* tam napotkali na ukryte baterye tureckie i 4 bataliony piechoty“. Punkt i kreska wzdłuż. „Straty nasze nieznaczne, tureckie bardzo wielkie. Nasz ogień szedł wybornie. Przy tej sposobności schwytaliśmy... pocztę turecką“. Biedna ta poczta! Ale przynajmniej stan zdrowia naszej armii nie pozostawia nic do życzenia.

Nietylko jednak waleczni obrońcy naszej urzędowej ojczyzny, tak są ogniotrwali, że jeden i ten sam kozak może kilka razy ginąć i zmartwychwstawać — podobny fakt miał miejsce i w naszej armii literackiej. Dr Tripplin, autor tylu rzeczywistych i nierzeczywistych podróży, kilkakrotnie uśmiercany przez dzienniki, nekrologowany przez tygodniki i wreszcie całkiem od kilku lat zapomniany, zjawił się w Warszawie i zamieszkał przy ulicy Stokrzyskiej. Włóczył się on po świecie i jako lekarz armii czarnogórskiej, w ostatniej wojnie dwukrotnie był ranny, ale mimo to żyje i jak się wyraził w przejeździe przez Kraków, przyjechał na swój pogrzeb do Warszawy, ażeby niekompromitować pism, które śmierć jego ogłosiły.

Jak dalece Warszawa, jest muzykalną, dowodzi tego powodzenie niedawno przybyłej orkiestry Fliegego. Względy, któremi się cieszył Bilse, dyrektor orkiestry lignickiej, przeniosły się obecnie na Fliegego. Piękny ogród Doliny Szwajcarskiej w Alei Ujazdowskiej codziennie zapełniają tłumy melomanów, dochodzące nieraz do pokaźnej sumy 4.000. Warszawa, jak każde miasto, ma swoje przyzwyczajenia i nie tak łatwo wyrzeknie się Doliny, w której lepsze towarzystwo daje sobie *rendez-vous*, młodzież „emabluje“ damy, zawierają się znajomości, a wszystko to przy dźwiękach Straussa i Bethovena, któremi na przemiany napawa nas wyborna orkiestra Fliegego. A trzeba też przyznać, że p. Dyrektor dobrze pojmuje swe zadanie, zamiast bowiem chaosu różnych utworów, wprowadził do swych koncertów pewien ład systematyczny. I tak: poniedziałki przeznaczone są na popisy solistów — środy symfoniom i w ogóle dziełom poważniejszym, a soboty również poważniejszej muzyce, ale jednego tylko kompozytora; system taki niewątpliwie ułatwi poznanie indywidualności twórców i nie mało się przyczyni do estetycznego wykształcenia słuchaczów.

Jak to było do przewidzenia, wojna bardzo smutnie oddziaływa na nasz handel. Ale ponieważ nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło, stało się więc, że kupcy zaniechawszy prawie zupełnie sprowadzania droższych towarów zagranicznych, zmusili nas tem samem do oszczędności i do poprzestawania na wyrobach krajowych. Tak np. droższych zagranicznych cygar, prawie niepodobna teraz dostać w Warszawie. Zdaje się, że i w innym kierunku wojna przyczyni się do oszczędności, wielu bowiem z tych, którzy na lato wybierali się za granicę, rozważywszy niski stan naszych papierów, postanowiło zostać w kraju i za-

bawić się na mniejszą skalę w Busku, Ciechocinku lub Nowem Mieście. Zdaje się więc, że w tym roku nasze miejsca kąpielowe bardzo będą ożywione. Piękne warszawianki już przygotowują stroje „kuracyjne;“ — ciekawym tylko czy na tem „targowisku próżności“, jakiemi się zwykle nasze wody, i kursa matrymonialne nie ulegną z powodu wojny obniżeniu?..

BIBLIOGRAFIA

polska.

— *Szlosser J. K.* Dzieje powszechne Tom 10. 8ka str. 515. Lwów 1877. 5fl. w prenumeracie 2·50.

Tom ten zawiera: Historyę ostatnich lat ośmnastego i pierwszych lat dziewiętnastego wieku. Francuzka rewolucya od r. 1789. Zdobycie Bastylii. Uroczystość zjednoczenia. Prawodawcze zgromadzenie narodowe. Rosya przed drugą wojną turecką Katarzyny II. Gustaw III. i Katarzyna II. Austryacko-rosyjska wojna z Turcyą w l. 1787—1792. Drugi rozbiór Polski. Trzeci rozbiór Polski. Stosunek Anglii, Austryi, Prus i Szwecyi do rewolucyi francuskiej. Wojna Francuzów z Austryą, Prusami i koalicyą. Wewnętrzne ruchy we Francyi. Komitet bezpieczeństwa. Żyrondyści. Rojaliści. Tryumwirowie. Wojna koalicyjna w l. 1795—1797. Bonaparte we Włoszech. Pokój w Campo Formio. Dyrektoryat we Francyi. Stosunek Rossyi, Austryi, Prus, Neapolu do Rzeczypospolitej francuskiej. Bonaparte w Egipcie. Druga wojna koalicyjna. Bonaparte pierwszym konsulem. Pokój w Luneville. Rossya i Francya. Stosunek Francyi do Hiszpanii i Portugalii. Angielskie sprawy w czasie ustanowienia konsulatu we Francyi. Zakończenie egipskiej wyprawy Francuzów. Układy między Francyą a Anglią. Pokój w Amien. Pierwszy krok Bonapartego do ustanowienia nowej monarchii we Francyi. Pierwsze lata 19 stulecia. Wielki angielsko-francuski spisek przeciw Bonapartemu. Ustanowienie Cesarstwa we Francyi. Przeobrażenie batawskiej, helweckiej i włoskiej Rzeczypospolitych w monarchie. Rozdzielenie niemieckich ziem przez Bonapartego. Wojna w San Domingo. Wojna między Anglią a Francyą. Utworzenie się trzeciej koalicyi. Przekształcenie Włoch i Holandyi w monarchie. Kapitulacya Ulmu. Bitwa pod Austerlitz.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Zaszczytnie znany patryota polski, pulkownik Edmund Callier, napisał broszurę p. t. *Słów kilka o legionach polskich. Rzecz na czasie.* Broszurę tę nabyć można w każdej księgarni.

— Recenzent *Kuryera Warszawskiego*, który czytał w rękopiśmie komedyą Blizińskiego „Pan Damazy“ pisze o niej, że najnowsza ta i tyle już rozgłośna praca Blizińskiego, zasłużyła istotnie na zaszczyt, jaki ją spotkał na konkursie krakowskim. Bo trudno wypowiedzieć, ile prawdy, życia, ruchu i ciepła, mieści się w tak zwyczajnych, prostych ramach! Trudno określić, jak starannie, choć bez wysilenia, autor umiał uniknąć tych błotnistych kałuż, po których nas wodzą radzi, autorowie francuskich a i... warszawskich nawet czasem komedyj. Jego poczciwcy, są tak sympatyczni i prawdziwi, że ich do serca przycisnąć pragniesz. Nie rozrzewniają cię oni efektami jaskrawemi, lecz i nie nudzą nigdy. Jego postacie ujemne, choć grzeszą wadami, grzeszą jednak jak ludzie, w których charakterze, pomimo cieniów, widnieją jednak pewne światełka przechowane może ze wspomnień tradycyjnych tylko... a jeżeli już która z tych postaci, jak np. rejent Bajdulski, nie ma i tych światełek nawet, to ma natomiast taką dozę prawdziwej komiczności, i postawiona jest wśród warunków tak ubezwładniających jej działania, że raczej śmiech niż wstręt obudza. Rzecz dziwna i zaleta wielka! Nowa komedya Blizińskiego jest obrazem, który mogą oglądać śmiało wszyscy, bez różnicy płci i wieku — a pomimo to jednak wszyscy bawić się będą i zajmować szczerze żywemi jego barwami, i wyjdą rzeźwi z tego powietrza pełnego świeżości, ciepła i zdrowia, które otacza wszystkie jego plany. Jeszcze jednę i także nieposlednią zaletę premiowanej komedyi stanowi język, jakim się posługują wszystkie wchodzące do niej osoby. Nikt tu nie deklamuje bez potrzeby, nikt nie cedzi wyrazów ułożonych po oratorsku lub zbukietowanych wonnie i barwiście — i nikt także nie razi uszów temi zpospolitowanemi już, lecz zawsze ohydnemi dwuznacznikami, jakiemi „dowcipni“ autorowie, scenicznych zwłaszcza utworów, posiłkują się tak pochopnie. Za to wszyscy mówią jak powinni — i wszyscy jasno, dosadnie a czasem nawet i silnie, wyrażają swoje myśli i uczucia. Najwięcej może jednak zalet w „Panu Damazym“ znajdą artyści, którym ten utwór do wykonania przypadnie — bo z *dziewięciu* aż ról będących tam do odegrania, nie ma *ani jednej* podrzędnej lub bezbarwnej. Każda z nich, mniejsza czy większa rozmiarem, posiada w sobie materyał wdzięczny, z którego artysta może urobić klejnot prawdziwy.

— Koncert Wagnera w Londynie dnia 7 maja odbył się w Albertshallu. Sluchaczów było 10.000, (?) między innemi kilku członków rodziny panującej, jak np. księżna Edymburska. Wagner witany był z zapałem. Dyrygował on pierwszą częścią, Hans Richter drugą. Program składał się z marszu cesarskiego i z ustępów z oper „Rienzi“, „Tannheuser“ i „Reingold“. Pani Materna zbierała sute oklaski.

Akademja Umiejętności.

— Doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności w Krakowie dnia 3 maja o godz. 12-ej w południe, zagaił JE. hr. Alfred Potocki, zastępca protektora akademii. Następnie zabrał głos prezes akademii, dr. Majer, oświadczając, że nie słowami odpowiadać będzie na pochlebne wyrazy zastępcy protektora akademii, lecz za odpowiedź służyć winien obraz jej czynności całorocznych, tudzież rozwoju jej sił. Siły w roku ubiegłym świetnie się rozwijały, a nowe zapisy i dary dobrą dla przyszłości są zapowiedzią. Prezes wspomniał o zapisach ś. p. Szalaya, połowy czystego dochodu z zakładu zdrojowisk Szczawnicy, o zapowiedzianym zapisie p. Rychcickiego, o kilku znacznych darach, nadesłanych z Warszawy i fundacyach, o które układy właśnie się toczą. Niemniej wzbogaciły się w roku ubiegłym: biblioteka, zbiory naukowe i artystyczne, między innemi, znakomitem dziełem sztuki, posągiem Kopernika Gadomskiego, dar hr. Arturowej Potockiej. Przedstawiwszy rozwój sił materyalnych i zasobów naukowych akademii, prezes przeszedł do bolesnych strat, jakie w swoim składzie poniosła. Poświęcił on kilka rzewnych słów wspomnienia zastępowi mężów, którzy wystąpili z szeregu. Najpierw wspomniał dwóch członków czynnych, którzy nie uzyskali potwierdzenia obcych rządów: Maurycego Manna i Bolesława Podczaszyńskiego. Oprócz nich, dziesięciu członków straciła akademia: Franciszka Palackiego, Ludwika Wołowskiego, Augusta Bielowskiego, Aleksandra Fredrę, ks. Fr. Pawłowskiego, Antoniego Walewskiego, trzech członków-korespondentów, a wostatnich tygodniach członka czynnego hr. Maurycego Dzieduszyckiego. Następnie sekretarz akademii, dr. Szujski odczytał sprawozdanie z ruchu naukowego, którego wstęp i konkluzya pełne głębokich poglądów o powołaniu akademii wobec narodu, wywołały silne na obecnych wrażenie. Najmniej szczęśliwie wypadł odczyt członka akademii p. Lucyana Siemieńskiego o księciu Józefie Poniatowskim, pozostawiając bardzo przykre wrażenie.

— Wydział historyczno - filozoficzny Akademii Umiejętności, odbył w dniu 4 maja, swe miesięczne posiedzenie. Przybyły ze Lwowa, członek, Izydor Szaraniewicz, czytał niektóre ustępy z większej swej pracy: „Patryarchat wschodni wobec kościoła ruskiego i rzeczypospolitej polskiej“. W przedmiocie tym zabierali głos członkowie profesorowie: Heyzmann, Szujski i Barzyński.

Następstwa wojny.

— Z Odessy donoszą że tam do dnia 24 kwietnia, panuje urzędownie stan wojenny. W skutek tego wszyscy z mieszkańców, którzy chcą opuścić miasto, mogą to uczynić, gdyż z rozkazu władzy zwiększono ilość pociągów. Co zaś do obrony samego miasta, to nic nie pozostawia do życzenia. Działa strzegące brzegów, są tak wielkiego kalibru; że żadna flota zbliżyć się nie zdoła, tembardziej, że na pewną przestrzeń od brzegów porozrzucane są pod morzem torpedy. Flota więc nieprzyjacielska może działać tylko ze znacznej odległości — a chcąc żeby kule dosięgały miasta musi pod bardzo wielkim kątem strzelać, co jednak niezawsze jest możliwem. Władze upakowały już swe papiery i archiwa, i oczekują tylko na przyjazd z Petersburga prokuratora izby sądowej, p. Jewrejnowa, który wiezie ze sobą rozporządzenie ministra sprawiedliwości, gdzie mają być przewiezione akta sądowe. Na szpitalu, który znajduje się niedaleko od brzegu, wywieszono już chorągiew towarzystwa czerwonego krzyża. Bogatsi przemysłowcy i bankierzy prawie wszyscy wynieśli się wszyscy do okolicznych miasteczek, niektórzy nawet o 50 wiorst, jak np. do miasta Siewiernikowa. Stacya kolei żelaznej, zatłoczona jest wyjeżdżającemi.

— Z Nikołajewa piszą że całe miasto przepełnione jest emigrantami z Odessy. Wskutek braku lokalów w mieście, które i tak skoczyły do nadzwyczajnych cen, mnóstwo rodzin mieści się na statkach parowych, których pełno stoi w Nikołajewie. Ceny przedmiotów do życia z każdym dniem się podnoszą, jak np. mięso, z 5ciu na 9 kopiejek.

— „Wraczebnyja Wiedomosti“ donoszą, że na Kaukazie ma być wkrótce uorganizowanych dwadzieścia kilka nowych szpitali wojskowych oprócz tych oczywiście, które już są i pełnią swe czynności.

Wypadki.

— „Kijewlanin“ przytacza ciekawy epizod z ostatniej powodzi Dnieprowej w Kijowie. W samych początkach wylewu, spostrzeżono pomiędzy mnóstwem najróżnorodniejszych przedmiotów, jakie woda unosiła, nie wielką chatkę wieśniaczą, do połowy pogrążoną w wodzie. Z dymnika na dachu, twarzą do miasta i publiczności stojącej na brzegu, wyglądały dwie główki dziecięce, chłopca i dziewczynki; między niemi siedział kogut, trzepocąc rozpaczliwie skrzydłami. Dzieci za to z niezamąconym spokojem, podparłszy się rączkami, przypatrywały się wspaniałemu widokowi, jaki przed niemi się rozwijał. Natychmiast z brzegu rzucono się na ponoc w łodziach, jokoż koło mostu łańcuchowego zdołano chatę zatrzymać i dzieci wyratować. Na pytanie, jakim sposobem dostały się tutaj, starsza dziewczynka odrzekła w śpiewnym swym języku: „Mamka piszły na sieło k'tietkie Motrynie, a nas zapierły w chati, ot my i poichali po wodi do Kijewa.“

— O powodzi w Kremienczugu piszą do gazety „Kijewlanin“ co następuje: „Kto nie widział tego strasznego obrazu, jaki w obecnej chwili przedstawia nasze miasto, ten wyobrażenia o tem mieć nie może. Cała okolica zmieniła się w jedno wielkie jezioro, z wyjątkiem małego wzgórza, na którem mieszczą się gmachy rady miejskiej i kilka magazynów. Komunikacya wewnątrz miasta i z dworcem kolei żelaznej odbywa się na łodziach. Ludność cierpi niesłychaną nędzę. Tysiące ludzi pozostałych bez dachu i chleba, schroniło się na piaszczyste wzgórze, o dwie wiorsty od miasta, wystawione na wszelkie zmiany temperatury. Wielu z mieszkańców wyniosło się do sąsiednich miast. Przeszło trzydzieście domów zwaliło się zupełnie, przyczem oczywiście zginęło mnóstwo ludzi i zwierząt. Połtawa, Charków i Elizawetgrad przysłały nieco chleba i innych wiktuałów, lecz to nie wiele pomaga. Na dworcach kolei mnóstwo ludzi mieści się w wagonach. Choroby już zaczynają się pojawiać — od głodu i zimna umierają ludzie dziesiątkami.

— Tragi-komiczny wypadek zdarzył się w Paryżu aeronaucie Feliksowi Gratien, który, w tych dniach, mając puścić się w podróż napowietrzną, wsiadł do łódki balonu naprzeciwko kościoła w Belleville. Ale dotarłszy do wysokości dachów, balon nagle uderzył o szczyt domu; łódka przewróciła się, i p. Gratien, dzięki tylko nadzwyczajnej przytomności umysłu, zdołał ocalić się od śmierci, trzymając się za sznury. Z tego niebezpiecznego położenia wyprowadził go lokator domu przy ulicy Paebla, który schwycił aeronautę za nogi, i wciągnął go przez okno do swego mieszkania.

Statystyka.

— W chwili ważnych politycznych wypadków, podajemy poniżej statystyczne cyfry zaczerpnięte z urzędowego francuskiego źródła, o wysokości wydatków każdego z państw europejskich na utrzymanie sił wojennych. I tak: w Anglii utrzymanie jednego żołnierza, wynosi 2.500 franków rocznie, w Rossyi 1.202 fr., we Francyi 1.172 fr., w Belgii 1.047 fr., w Niemczech 975 fr., w Turcyi 922 fr., we Włoszech 917 fr., w Danii 880 fr., w Hiszpanii 775 fr. i w Austryi 720 fr.

ROZMAITOŚCI.

— Podajemy poniżej piękny wiersz W. Gomulickiego o którym wspominał w zeszłym numerze autor „Tygodnia Warszawskiego“:

Henrykowi Siemiradzkiemu.

Witaj mistrzu! Tyś dotąd gościł między nami
Tylko ducha potęgą, tylko natchnieniami,
I Warszawa cię starej zazdrościła Romie —
Dziś wśród koła współbraci stanąłeś widomie,
Żeby dziecka z rodziną stwierdzić sojusz wieczny;
Więc pozdrowion bądź sercem, gościu nasz serdeczny!

Jak górnik, zbrojny w lampkę, co słabo migota,
Szuka w mroku i pustce słonecznego złota,
Żeby niem uszczęśliwić kochankę lub żonę,
Tak ty mistrzu, w stulecia wstąpiwszy minione,
Między labirynt grobów, pełnych żywej treści,
Snujesz z nich poematy chwały i boleści,
Które lauru koroną wieńcząc cię za młodu,
Mają potem bogacić skarbnicę narodu.

Rzym cię nęci ku sobie—wielki grób, którego
Aniołowie Chrystusa na kolanach strzegą
Trwożni, by z pod kamienia nie wstał, i nad światem
Nie zagrzmiał Dyktaturą lub Tryumwiratem.
Rzym cię nęci—i nie dziw, bo w tem mieście słońca
Pod opoką marmurów płynie krew gorąca,
Bo w tym grobie, w koscielne strojnym dziś kobierce,
Pulsuje po dawnemu żywe ludzkie serce...

Słońce, gasnąc, blaskami najżywszemi strzela —
I Roma czując duchem przyjście Zbawiciela,
I śmierć, której obydy pacierze nie zmniejszą,
Była najwyuzdańszą—lecz i najpiękniejszą...
Próżno stary Juwenal wielkim głosem woła:
„Giniecie!“ i na nagie szalejących czoła
Ciska satyr pioruny — Romulowe plemię
Nie chce opamiętania, bo to ciężkie brzemię,
Pod którem człowiek gnie się jak muł i utyka...

Oto w grodzie Cezarów rządzi Rozkosz dzika!

Przy stołach zastawionych godnem bogów jadłem,
Biesiadnicy, z obliczem od uciech wybladłem,
Kładą się, róż splotami uwieńczywszy głowy.
Przy każdym do usługi wszelakiej gotowy
Etiopczyk—istny posąg rzeźbiony z hebanu—
Z psią pokorą spogląda w oczy swemu panu.
Sypią się kwiatów deszcze i potopy całe.
Z kadzielnic wonne dymy płyną pod powałę.
Falernu skrzący strumień leje się bez przerwy,
Słodkie tony muzyki mile łechcą nerwy.
W głębi, kobiet półnagich roztańczone grona
Błyskają brylantami oczów, śniegiem łona...

Każdy zmysł ma tam strawę, każdy fibr jest struną,
Na której gra namiętność. Nie Jowisz, nie Juno
Odbierają cześć boską i libacye z wina —
Różane berło dzierży — Venus libitina.
Miłość świeci jak słońce, każdej i każdemu;
Prócz zmysłów, tłum sceptyczny nie wierzy niczemu;
Małżeństwo jest pętami, które zerwać łatwo;
Niewolnicy trzymają opiekę nad dziatwą;
Kobiecie, która gardzi niewinności zbroją,
Dość rzec: „podobasz mi się“; lub: „pięknáś, bądź moją.“

Młodzii i silni rządzą; słabym starcom biada;
Rydwan uciech gruchocze tego, kto upada;
Wieszcz chwali ducha czasu, lub idzie na kaźnię,
Horacy ma dom cichy, a Seneka... łaźnię.
Tłum nie wybiega nigdy myślą ku błękitom,
Szydzi z bogów Olimpu, a wierzy — wróżbitom,
Szaleje, bluźni, kocha, wątpi, falern pije,
I żyje barbarzyńskim żywotem, lecz — żyje!

Naprzeciw tego tłumu stanął Chrystus cichy
I—zwyciężył. Z rąk tłumu wypadły kielichy,
Szaleństwo ustąpiło miejsca rozmysłowi
I w szranki zapaśnicy wystąpili nowi,
Którym, by nie zbłądzili, kazał Neron dziki
Zapalać w swych ogrodach „żyjące świeczniki“...

Zwycięzcą jest ten, czyja idea zwycięża.
Chrystus, wielki bój duchów wygrał bez oręża,
I na pijanem ciele zwyciężonej Romy
Zatknął krzyż, znak poświęceń i symbol widomy
Tryumfu ofiarności ducha nad użyciem.

Rzym padł.

Czy ze społecznem Latyńczyków życiem,
Które dziś się wydaje jako sen daleki,
I cały świat pogański zamarł już na wieki?
Czy ten byt długich wieków ma być garścią piasku,
Którą wicher rozwiewa przy słońc nowych blasku?

Niechaj na to pytanie odpowiedzą księgi
Poetów, pełne dźwięków obcej nam potęgi,
Wiecznie młode, choć kurzem pokryte wiekowym;
I cała wiedza nasza, w której szczytem nowym
Służą za wsparcie stare jak Rzym fundamenta;
I legenda dziejowa, poważna a święta;
I głazy, które wieśniak wyorywa włoski,
Rzeźbione i pokryte ciekawemi głoski;
I Tybrowych fal szepty; i wichrów spowiedzie,
Gdy w murach Kolizeum rozhowory wiedzie...
Niech na to zapytanie, które myśl podjęła,
Odpowiedzą nareszcie — twoje, mistrzu, dzieła!

Tyś odgadł ducha siłą i w formę mistrzowską
Oblokłeś tę jedyną, bezwzględną i boską
Prawdę, że dziś i wczoraj stoją obok siebie
Równe, jako dwie gwiazdy złączone na niebie,
I że w życiu społeczeństw jedno prawo bytu
Ma burza namiętności i — spokój zachwytu.

Twoje obrazy, mistrzu, to karty olbrzymie,
Które kształtów językiem mówią nam o Rzymie
Lepiej, niż dziejopisów grube woluminy.
W nich myśl nowa mistyczne otrzymuje chrzciny.
I wzrasta, żeby okryć ciebie — i nas — chwałą,
Ty już dziś tryumfujesz, tak jako przystało
Na wielkiego artystę i dzielnego męża —

Bo zwycięzcą ten, czyja idea zwycięża!

Wiktor Gomulicki.

— Karol Ritter nazwał Armenią „wyspą gór“, „wielką twierdzą naturalną“, cytadelą ludów“. Od czasu jak mityczna arka Noego spoczęła na tej wyżynie, wszystkie narody, które toczyły bój o Azyę mniejszą, przelewały tu swoję krew. Dziś znowu tam krew płynie. Walka się toczy na jednym z trzech kawałków Armenii, na dziale tureckim; dwie inne prowincye dawnej Armenii, rossyjska i perska, są spokojne. Jeżeli zaś Armenia jest kluczem do Azyi Mniejszej, to główna w tych stronach twierdza Kars jest kluczem do Armenii. Wojska moskiewskie stoją już pod fortecą, która leży o ośm mil od Aleksandropola, od owej potężnej warowni na granicy rossyjsko-tureckiej. Od strony Aleksandropola Kars przedstawia się smętnym, ponurym. Silne mury, czarne jak bazalt, na którym zostały wzniesione, grożą zbliżającemu się wojsku przeszło trzystu strzelnicami. Dawna cytadela Arkanich, na stromym stożku skalistym, wysokim 80 metrów i położonym w północno-zachodniej stronie miasta, panuje nad równiną Szyrag, po której toczy się kryształowa rzeczka Kars, może 200 kroków szeroka, łukowato okalająca miasto i cytadelę od południo-zachodu ku północo-wschodowi. Wyżej jeszcze nić cytadela wznoszą się na wschód i południe od miasta góry Kara-dagh i Top-dagh, zbrojne oddawna tak zwanemi angielskiemi i węgierskiemi bateryami, które teraz jeszcze wzmocniono. Kiedy Tournefort w r. 1700 Kars odwiedził, było tam przeszło 100000 mieszkańców, handel prosperował. Jeszcze przed 1829 r. liczył Kars 40,000 ludności, po większej części ormiańskiej. Dziś więcej domów pustych i walących się niż zamieszkanych i całych. Liczba ludności spadła na 12,000 a handel zupełnie ustał. Nie tylko wojny rossyjskie dokonały tego. Wiele też ucierpiało miasto od napaści Georgijczyków i Persów. Nadar-szach oblegał je przez cztery miesiące, ale z powodu okropnych mrozów odstąpił w październiku 1744 r. z pod murów Karsu. Paszkiewicz w ciągu czterech dni zdobył obóz turecki, twierdzę wziął szturmem a cytadelę zmusił do poddania się (23 czerwca 1829). W r. 1855 pułkownik Lake zastał Kars w opłakanym stanie. Fortyfikacye rozwalone, ziemne wały poprzerywane w wielu miejscach i niskie. Lake'mu Kars wiele zawdzięcza, przez niego zyskał nazwę „Sewastopola Armenii“. Dzieje oblężenia i upadku Karsu w r. 1854 są zbyt świeże, ażebyśmy je tu powtarzać potrzebowali. Traktat paryski oddał tę fortecę Turcyi napowrót. Rząd sułtański skorzystał z dwudziestoletniego przeciągu czasu, ażeby ją wzmocnić. Miasto tymczasem znacznie się zmniejszyło. Miejsce Ormian zastąpili przeważnie Turcy, którzy się gnieżdżą w ruinach i podziemnych norach. Mieszka tu wprawdzie biskup ormiański, ale nie ma samoistnej władzy, zależy od eczmiadzyńskiego katolikosa. Obecną załogę Karsu liczą na 30,000. Dział jest tam podobno 289 fortecznych a 66 polowych. Fort Arkanieh, bastyonowy pięciobok Vauban'a posiada 30 armat Kruppa i 68 dział dawniejszych. Okolice Karsu są posępne. Na tej widowni, wzniesionej o 6000 stóp nad morzem, gdzie od wieków walczyli z sobą Armeńczycy, Macedończycy, Grecy, Persowie, Rzymianie, Partowie, Arabowie, Seldżuki, Turcy, Rosyanie, na tej wyżynie ścierają się też z sobą mroźne wiatry północne i gorące prądy zwrotnikowe. Kontrast skwarnego lata i ciężkiej, długotrwałej zimy przeszkadza rozwojowi wegetacyi. Dopiero czerwiec jest tu wiosną, wrzesień już jesienią. Drzew prawie nigdzie nie widać, a latem tylko zielona trawa lub jęczmień pokrywają gór stoki.

— W Wiedniu zamkniętą została w dniu 1szym bieżącego miesiaca znana w całej Polsce kawiarnia Dauma, która od lat 47 zostawała w posiadaniu jednej i tej samej rodziny. Z upadkiem tej kawiarni ginie równocześnie jeden z punktów środkowych życia towarzyskiego stolicy austryackiej. Szczególnie jednak tracą na tem Polacy, bawiący w Wiedniu, którzy przyzwyczaili się uważać tę kawiarnię za punkt zborny. Najświetniejsze czasy dla Dauma były pomiędzy 1840 — 1868 r., gdy schodzili się tam ludzie tacy, jak Berger i Brestel, późniejsi ministrowie, Frydryk Hebel, Mosenthal, Smolka, hr. Beust i inni w czasie posiedzeń rady państwa, a zwłaszcza też w godzinach nocnych licznie się tam gromadzili deputowani, hr. Rechberg, hr. Alfred Potocki, Herbst, Wł. Rieger i mnóstwo posłów z Galicyi przesiadywało tam w owych czasach. Później dopiero do Dauma zaczęli się schodzić giełdziści. Kłótnie i krzyki wypędziły gości od Dauma i tylko Polacy zostali do końca wierni kawiarni zajmając zawsze dwa małe środkowe pokoiki. Zewnętrznie kawiarnia Dauma nie odznaczała się niczem, ale tam koncentrowało się całe życie polityczne Wiednia, a zwłaszcza w czasach groźnych, gdy wojna lub kryzys ministeryalna zawisła w powietrzu.

Od Redakcyi.

Nieznajomemu. Wiersz „Tułacz“ drukowany nie będzie.

P. S. w Koble. Dziękujemy za notatkę ale jest przestarzałą. Wyjątek z Pascala nie może być drukowany.

P. S. z P. Wiersz nadesłany zanadto grzeszy pod względem formy, „Powietrze“ i „ciecze“ w żaden sposób nie można rymować.

P. A. A. Artykuł o Muzeum będzie umieszczony — przepraszamy za zwłokę z powodu braku miejsca.

P. B. Z. P. Rogosz zaniechał dalszego wydawnictwa dzieł Jeża. Prenumeratę można przepisać na „Tydzień“.

Treść Nr. 37.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.